

STEVEN ERIKSON

KRWAWY TROP



Niezależna opowieść ze świata
Malazańskiej księgi poległych

STEVEN ERIKSON

KRWAWY TROP

PIERWSZA Z OPowieści o
BAUCHELAINIE I KORBAŁU BROACHU



PRZEKŁAD: MICHAŁ JAKUSZEWSKI

Tytuł oryginału: Blood Follows

Tłumaczenie: Michał Jakuszcwski

Copyright © 2003 by Steven Erikson

All rights reserved

Copyright © by Instytut Wydawniczy Mag, 2004

ISBN 978-83-89004-67-4

Wydawnictwo: Mag

e-mail: handel_mag.com.pl

mag.com.pl

Oficjalny sklep www.mag-sklep.pl

WSTĘP



Gdy miałem kilkanaście lat, raczej nie zdawałem sobie sprawy z istnienia czegoś takiego jak podtekst w powieściach i opowiadaniach, jakie pochłaniałem żarłocznie w czasie, który powinienem przeznaczyć na naukę. Z pewnością też przypominam sobie bardzo niewiele z większości szkolnych lektur (wyjątkami są *Władca much*, *Folwark zwierzęcy* i *Nowy wspaniały świat*), a zwłaszcza dyskusji o nich, do czego zmuszali nas nauczyciele.

W gruncie rzeczy, gdy cofam się myślą do tamtych czasów, wątpię, by mój mózg funkcjonował wówczas nader intensywnie. Krytyczna myśl wydawała mi się czymś obcym i onieśmielającym, a jedynym, co pracowało w moim umyśle na pełnych obrotach, była wyobraźnia. Przypuszczam, że ta właśnie charakterystyczna cecha młodości leży u podstaw wszelkiej nostalgii. W końcu dziecinny zachwyty oznacza brak sceptycyzmu i dlatego świat wolny od niepewności jest atrakcją zarówno dla romantycznych idealistów, jak i spragnionych ucieczki od rzeczywistości. Tym, co wspomina się z łezką – albo z gorzkim żalem – jest złudzenie prostoty.

Dla mnie epoka bezkrytycznego zachwyty trwała do wieku kilkunastu lat życia, choć w dzisiejszych czasach wygląda na to, że dzieci wypalają się i wyrastają z niej, gdy mają dziewięć, dziesięć lat. Nadal nie wiem, czy to źle, czy też jest to dla nich jedyne wyjście. Tak czy inaczej, wątpię, by w wykazie

pisarzy, których książki czytałem, było coś, co można by uznać za wyjątkowe. Teraz łatwo mi jest prześledzić narastającą komplikację moich lektur, w miarę jak z upływem lat narastało we mnie pragnienie literackiego wyrafinowania.

Jeśli chodzi o literaturę fantasy, moja wędrówka rozpoczęła się od E.R. Burroughsa (którego poznałem w wydaniach Ace Books, ze wspaniałymi okładkami Franka Frazetty) i poprzez R.E. Howarda (znowu okładki Frazetty) doprowadziła mnie do Karla Edwarda Wagnera oraz Fritza Leibera. Można tu zaobserwować pewne oczywiste trendy – coraz większe upodobanie do dark fantasy; bardzo realne prawdopodobieństwo, że kupowałem książki, kierując się nazwiskami autorów ich okładek; uderzająca nieobecność *Władcy pierścieni* na tej liście; a także, jak sądzę, oznaki polepszania się gustu.

Bez względu na to wszystko (i by wrócić z opóźnieniem do punktu, od którego zacząłem), nie pamiętam, bym zdawał sobie sprawę z wywrotowego ładunku ukrytego w dziełach tych ostatnich pisarzy, a zwłaszcza opowiadaniach Fritza Leibera opiewających przygody dwóch niezwykłych bohaterów. Nie doceniałem też w pełni okrutnego humoru zawartego w tych opowiadaniach. Szczerze mówiąc, nie potrafiłem go docenić przez długie lata.

Mógłbym prześledzić podobny postęp w moich lekturach, gdy chodzi o science fiction, gdzie punktem szczytowym mojej drogi byli zapewne P.K. Dick i Roger Zelazny.

Tak czy inaczej, w owych latach nigdy nie przychodziła mi do głowy myśl o zabawie tropami charakterystycznymi dla gatunków literackich. Czytałem dla rozrywki i owi wspaniali pisarze dostarczali mi jej bardzo wiele.

Przejście od roli czytelnika do roli pisarza wiąże się z czymś w rodzaju kapitulacji, ponieważ przyjemność płynąca z czytania słabnie, gdy człowiek zaczyna dostrzegać techniczne niedoskonałości, niekiedy pokraczny szkielet

struktury, oklepane banały i powtarzające się regularności w budowie zdań. W dzisiejszych czasach czytanie Burroughsa przychodzi mi z trudnością i, szczerze mówiąc, żałuję tego.

Od czasu do czasu jednak zdarza mi się ponownie odwiedzić jakiegoś pisarza i czuję się wtedy tak, jakbym czytał go po raz pierwszy: oczy otwierają mi się nagle na subtelne (a czasami nie takie znowu subtelne) gry, jakim oddaje się sprytny autor. Bynajmniej nie czuję się wówczas rozczarowany. Miłe wspomnienia sprzed lat łączą się ze współczesną świadomością ukrytych intencji, zamiast pozostawać w konflikcie, i cichy, podstępny szept, który rozlega się pod czaszką, ostrzegając mnie przed ryzykiem powrotu do tego, co kiedyś kochałem, milknie. Nie jestem rozczarowany, ale daję się porwać. Przyjemność czytania jest równie wielka, choć z odmiennych powodów.

Większość pisarzy, świadomie bądź nie, składa swą twórczością hołd autorom, na których się wychowali. Wszyscy próbujemy ponownie odnaleźć zachwyty, jaki czuliśmy w dzieciństwie, i ofiarować go z kolei nowym odbiorcom. Odbiorcom, którzy zapewne nie czytali Burroughsa, Howarda, Wagnera czy Leibera.

Często ów hołd również ma wywrotowy charakter. Autor uchyla kapelusza, lecz jednocześnie mruga znacząco, a potem wywraca na nice cały schemat opowieści.

Prawdziwy hołd nie jest zwykłym naśladownictwem. Celem nie jest proste skinienie głową mistrza lub jego ducha. Nie, chodzi o to, żeby ten mistrz (albo jego duch) aż się wyprostował z wrażenia. To, rzecz jasna, ambitny zamiar, ale na tym właśnie polega prawdziwy hołd.

„Krwawy trop” jest pierwszą z opowieści mówiących o mniej lub bardziej incydentalnych przygodach trzech postaci: lokaja, jego pana oraz towarzysza jego pana. Samo w sobie brzmi to całkiem zwyczajnie i na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać niezłym sposobem na przedstawienie trzech niechętnych bohaterów, którzy przeżywają epizodyczne spotkania z siłami

zła, zwyciężają w starciach z nimi i ruszają w dalszą drogę. Coś takiego mogłoby spowodować, że duch Leibera skinąłby głową raz albo dwa. To jednak za mało. To zdecydowanie niewystarczający hołd. Ostatecznie opowiadania Leibera są znakomite. Były dla mnie inspiracją i nadal nią pozostają.

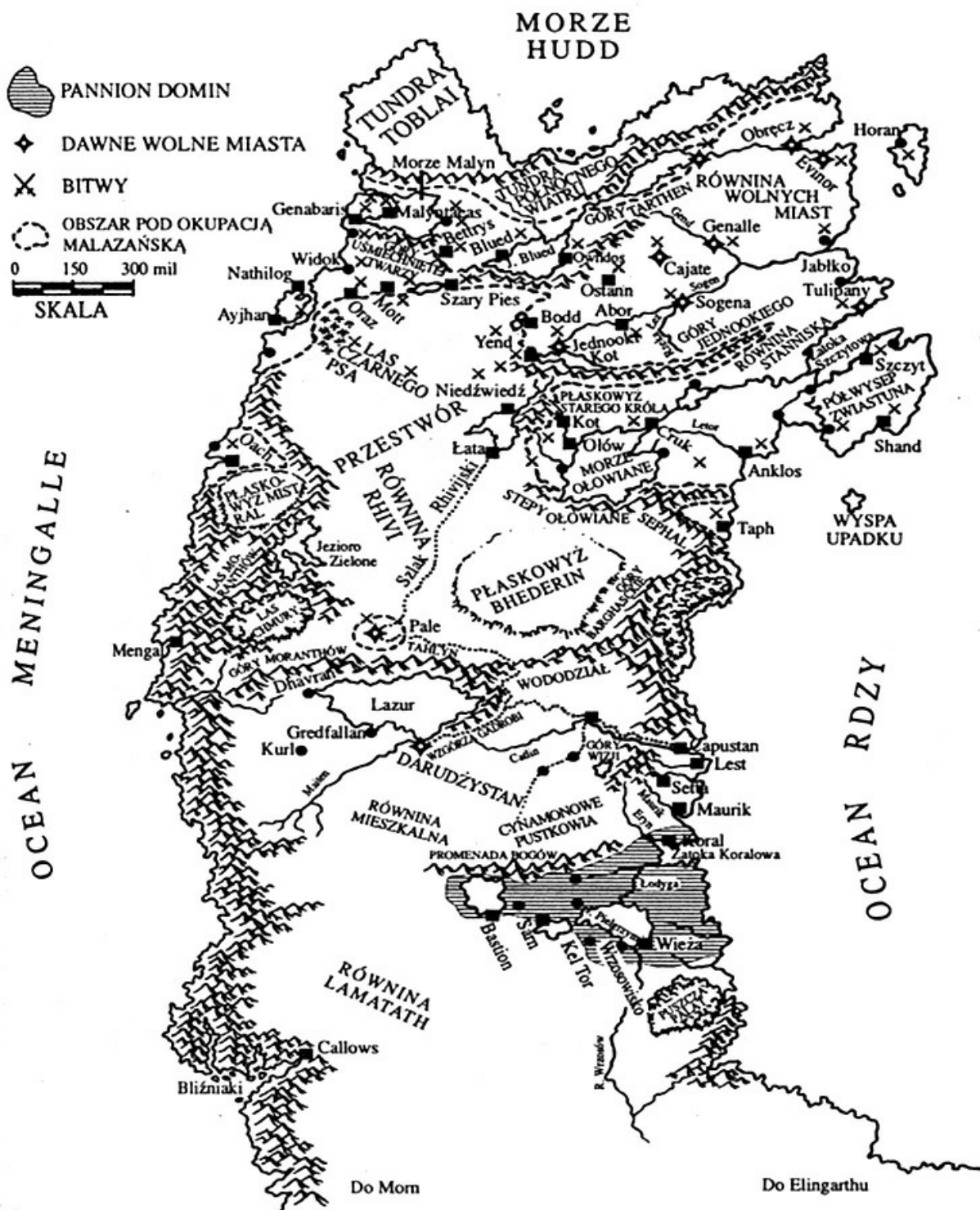
Dlatego postanowiłem postawić cały schemat na głowie.

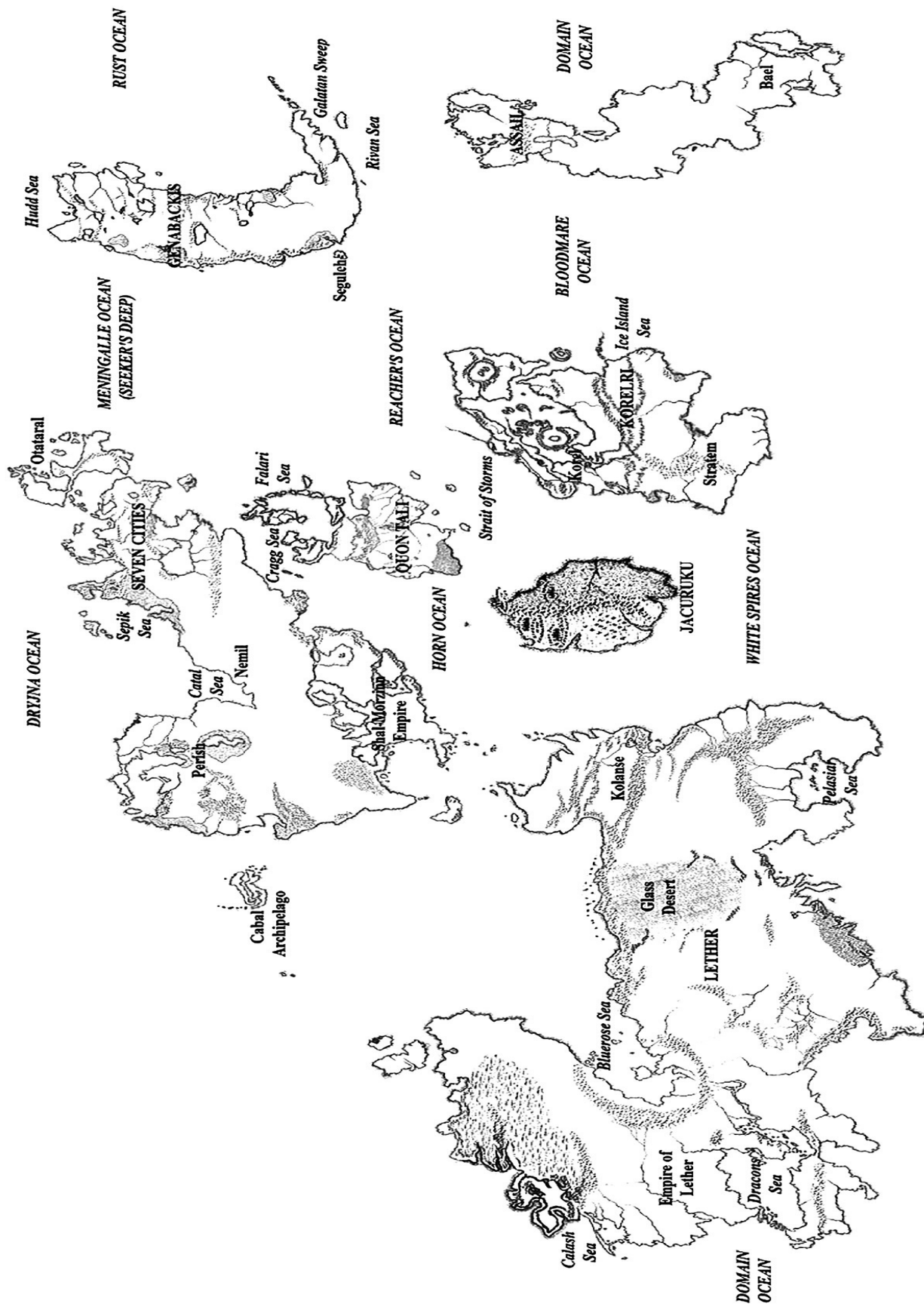
Złożyłem mu hołd. Mam nadzieję, że gdzieś tam jego duch wyprostuje się z wrażenia. To by mnie ucieszyło.

Steven Erikson

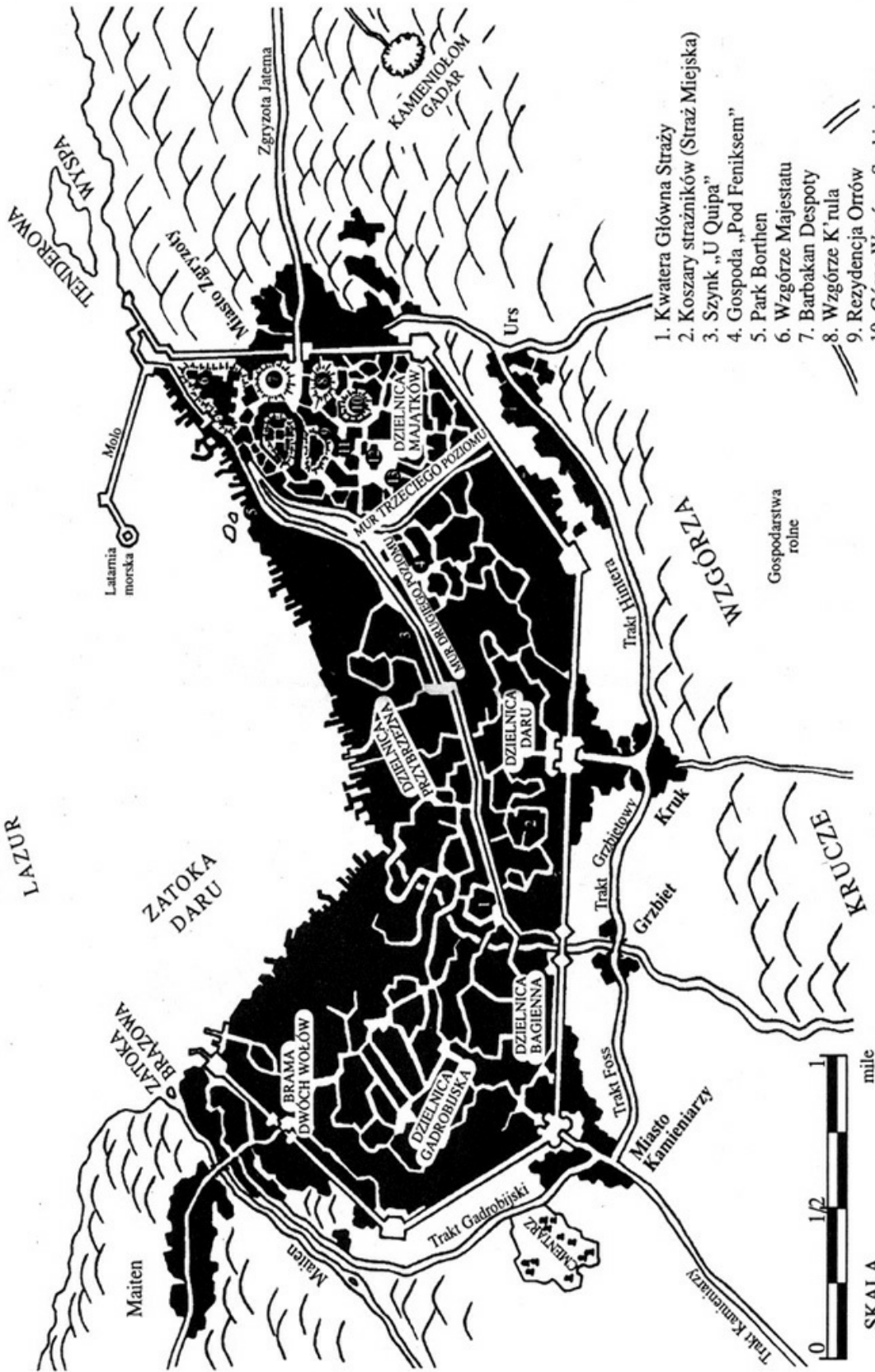
GENABACKIS:

malazańska kampania około 1160 snu Pożogi





Darudżystan



- 1. Kwatera Główna Straży
- 2. Koszary strażników (Straż Miejska)
- 3. Szynk „U Quipa”
- 4. Gospoda „Pod Feniksem”
- 5. Park Borthen
- 6. Wzgórze Majestatu
- 7. Barbakan Despoty
- 8. Wzgórze K' rula
- 9. Rezydencja Orrów
- 10. Górne Wzgórze Szubieniczne
- 11. Rezydencja Baruka
- 12. Rezydencja Simtal
- 13. Wieża Hintera

GENABACKIS: The Malazan Campaign ca. 1160 Burn's Sleep

- PANNION DOMIN
- ◆ PREVIOUS FREE CITIES
- ✕ BATTLES
- MALAZAN OCCUPATION

SCALE
50 100 leagues

MENINGALLE OCEAN



NG



To Morn

To Elingarth

KRWAWY TROP



Nad całym Smętnym Miastem Lalunią słyhać było bicie w dzwony. Ich dźwięk wypełniał wąskie, kręte zaułki, uderzając we wstających o świcie, którzy pośpiesznie rozkładali swe towary na rondach handlowych. Dzwony huczały, a ich dźwięk toczył się po brudnych brukowcach ku nabrzeżom i szarym falom burzliwej zatoki. Ton żelaza pobrzmiwał przenikliwą nutą hysterii.

Echa owego przerażającego, niemilknącego dźwięku sięgały do głębi krytych łupkową dachówką kurhanów, którym wszystkie dzielnice Laluni zawdzięczały swe wybrzuszone ulice, pochyle domy i ciasne zaułki. Kopce te były starsze niż samo Smętne Miasto i wszystkie dawno już dokładnie przetrząśnięto w bezowocnym poszukiwaniu łupów. Przypominały strupy, dzioby pozostałe po jakiejś starożytnej zarazie. Odgłos dzwonów przenikał aż do rozsypanych, połamanych kości, pochowanych w wydrążonych kłodach wraz ze zbutwiałymi futrami, kamiennymi narzędziami i bronią, paciorkami oraz biżuterią z kości bądź muszelek, skulonymi szkieletami myśliwskich psów, a tu i ówdzie również koźmi, których głowy ucięto i ułożono u stóp ich panów. Wszystkie te czaszki miały między lewym okiem a uchem dziurę po gwoździu. Echa niosły się pośród umarłych, budząc cienie z wielusetletniej drzemki.

Kilka z owych przerażających duchów ocknęło się w odpowiedzi na zew i wyłoniło spod łupku, ziemi i ceramicznych skorup w poprzedzającym nadejście świtu mroku, czując woń... kogoś, czegoś. Potem wróciły do swych mrocznych domostw, a dla tych, którzy je widzieli, dla tych, którzy wiedzieli

cokolwiek o tego rodzaju istotach, ich odejście przypominało raczej ucieczkę.

Na Rondzie Świątynnym, w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej nad położonymi w głębi lądu wzgórzami, studnie, fontanny i kamienne misy wypełniały się nadmiarem monet. Na łożu z miedzi lśniło gdziegdzie srebro i złoto. Pod otoczonymi wysokimi murami sanktuariami Pożogi gromadziły się tłumy – pełne ulgi i bezpieczne w blasku wilgotnego poranka – radujące się z odejścia nagłej śmierci i dziękujące Śpiącej Bogini za to, że nadal się nie budziła. Widziano też wielu lokajów wychodzących boczną furtką ze świątyni Kaptura. To bogacze próbowali przekupić Pana Śmierci, licząc na to, że obudzą się następnego dnia, ukojeni na duchu, w swych miękkich łóżach.

To dla mnichów Królowej Snów miniona noc była powodem do żałoby ze względu na swój brzęczący tren żelaza, naznaczoną bliznami nocną twarz cywilizacji. Owa twarz miała bowiem imię, a brzmiało ono Morderstwo. Dlatego dzwony nie milkły, a na port Laluni opadał całun złowróżbnego dźwięku – zimnego, twardego dźwięku, przed którym nie było uciezki...

...podczas gdy w zaułku za niewielką rezydencją przy Niskiej Drodze Kupieckiej, wróżbita posługujący się Talią Smoków hałaśliwie uwalniał się od swego śniadania złożonego z owoców granatu, chleba, suszonych śliwek oraz rozcieńczonego wina, otoczony pierścieniem psów, które cierpliwie czekały na swoją kolej.

Drzwi zamknęły się z hukiem za Emanciporem Reese'em, wstrząsając lichym zatraskiem, po czym znowu zwisły na wytartych, skórzanych zawiasach. Mężczyzna wpatrzył się w wąski, cuchnący stęchlizną korytarz, który miał przed sobą. Ulokowaną na wysokości pasa wnękę po jego prawej stronie oświetlała pojedyncza łojowa świeczka. W jej blasku widać było plamy wilgoci, spękany tynk oraz maleńki kamienny ołtarzyk Siostry Soliel, pokryty zwiędłymi główkami kwiatów. Na tylnej ścianie, sześć kroków od miejsca, w którym stał, korytarz otwierał się na obie strony. Wisiał tam

potężny pałasz z czarnego żelaza o poprzecznym jelcu i gałce z brązu. Zapewne rdza połączyła go już w jedną całość ze spatynowaną pochwą. Gdy Emancipor patrzył na broń swej młodości, jego poorana bruzdami, ogorzała od słońca twarz wyrażała przygnębienie, zwłaszcza wokół oczu. Czuł każde z sześciu, może siedmiu dziesięcioleci swego życia.

Jego żona uciszyła się w kuchni, zajęta podgrzewaniem mokrego piasku. Garnek po porannej owsiance oraz talerze stojące obok niego na drewnianej ladzie nadal czekały na wyszorowanie. Widział ją oczyma wyobraźni: grubą, nieruchomą niewiastę, oddychającą coraz płycej i coraz bardziej nerwowo.

– To ty, Mancy?

Zawahał się. Mógł to zrobić. Cofnąć się, wyjść na ulicę. Znał się na sondowaniu i umiał wiązać węzły. Wszystkie rodzaje węzłów. Niestraszny mu był kołyszący się pokład. Mógł opuścić to cholerne, zawszone miasto, porzucić tę kobietę i wrzeszczące, mizdrzące się bachory, które spłodzili. Mógł... uciec.

– Tak, kochanie – odparł z westchnieniem.

– Czemu nie jesteś w pracy? – zapytała bardziej piskliwym głosem.

Zaczerpnął głęboko tchu.

– Zostałem... – przerwał, a potem dokończył, wypowiadając drugie słowo głośno i wyraźnie: -...bezrobotnym.

– Słucham?

– Bezrobotnym.

– Wylał cię? Wylał? Ty głupi, nieudolny...

– Dzwony! – krzyknął. – Dzwony! Nie słyszysz dzwonów?

W kuchni zaległa cisza.

– Siostry zmiłujcie się! – usłyszał nagle. – Ty idioto! Czemu nie idziesz szukać pracy? Znajdź sobie nową robotę. Jeśli wydaje ci się, że pozwolę ci się tu obijać, podczas gdy nasze dzieci stracą możliwość nauki...

Emancipor westchnął.

Kochana Subly. Zawsze była taka praktyczna.

– Już idę, kochanie.

– Wróć, jak znajdziesz robotę. Dobrą robotę. Przyszłość naszych dzieci...

Zatrzasnął za sobą drzwi i wbił wzrok w ulicę. Dzwony nadal nie milkły. Robiło się coraz upalniej. W powietrzu unosił się fetor nieczystości, gnijących mały oraz ludzkiego i zwierzęcego potu. Subly niemalże sprzedała własną duszę w zamian za stary, zniszczony dom, który miał za plecami – czy raczej za dzielnicę, w której się znajdował. Zdaniem Emancipora śmierdziało tu tak samo, jak we wszystkich innych dzielnicach, w których wcześniej mieszkali. Pomijając być może fakt, że różnorodność gnijących w rynsztokach warzyw była tu większa.

„Lokalizacja, Mancy. Wszystko zależy od lokalizacji”.

Po drugiej stronie ulicy Sturge Weaver wylazł przed swój sklep, by otworzyć zamek żaluzji i odsunąć je na boki. Co chwila spoglądał znacząco na niskie wzgórze kurhanu wznoszące się na ulicy między ich domami.

Ten ospały pierdziel wszystko słyszał. Nie szkodzi. Subly upora się z garnkiem i talerzami w rekordowym czasie, a potem wyjdzie na ulicę i zacznie trzepać jadaczką, wytrzeszczając oczy w poszukiwaniu współczucia czy czego tam.

To prawda, że musiał znaleźć nową robotę przed zmierzchem, bo inaczej cały szacunek, który udało mu się zdobyć w ciągu sześciu ostatnich miesięcy, zniknie szybciej niż płomień świecy podczas huraganu, wróci ponure przezwisko „Niefartowny Mancy”, duch dawnych czasów podążający za jego cieniem, i sąsiedzi tacy jak Sturge Weaver znowu zaczną czynić znaki chroniące przed złem, gdy tylko ich drogi się skrzyżują.

Robota. W tej chwili nie liczyło się nic innego. Mniejsza z tym, że, odkąd nastąpiła nowa pora roku, w mieście grasował jakiś szaleniec i co rano znajdowano straszliwie okaleczone ciała mieszkańców Smętnej Laluni. Ich oczy nic nie wyrażały – o ile nadal mieli oczy – a ich ciała... wszystkie te brakujące części. Emancipor zadrżał. Mniejsza z tym, że pan Baltro nie będzie już nigdy potrzebował stangreta – pomijając garstkę białych,

zgarbionych grabarzy, którzy zabiorą go w ostatnią podróż do katakumb, w których spoczywali jego przodkowie, na zawsze kładącą kres jego rodowi.

Emancipor otrząsnął się. Gdyby nie makabryczny etap przejściowy, mógłby niemal zazdrościć kupcowi tej ostatniej podróży.

Przynajmniej znalazłbym wreszcie ciszę. Nie chodzi mi oczywiście o Subly, ale o dzwony. Cholerne, jęklive, wiecznie gderające dzwony...

* * *

– Znajdź mnicha na końcu tego sznura i skreć mu kark.

Kapral spojrział, mrugając, na sierżanta, wierząc się niespokojnie pod ciężarem stroju pododdziału pogrzebowego, na który składała się pierścieniowa kolczuga z brązu upstrzona niebieskimi plamami, garnczkowy hełm z nakarczkiem oraz ciężkie, wyściełane skórą naramienniki.

Cholera, chłopak wręcz pływa w tej przeklętej zbroi. Nie udało mu się też zaimponować gapiom. Nawet nie wyjmował tego krótkiego miecza. Pochwę ma nadal zalakowaną, do Kaptura.

Guld odwrócił się.

– Ruszaj, synu.

Słuchał odgłosu cichnących za jego plecami kroków chłopaka, obserwując z ponurą miną, jak jego oddział stara się otoczyć kordonem ciało oraz stary kurhan, w którym je pozostawiono, utrzymując na dystans gapiów i wałęsające się psy, a także próbując kopać gołębie i mewy. Dzięki ich wysiłkom to, co zostało z zabitego, spoczywało w pokoju pod kawałkiem strzechy, którym nakrył go jakiś litościwy przechodzień.

Wróżbita wynurzył się chwiejnym krokiem z sąsiedniego zaułka. Twarz miał popielatą. Nadworny mag króla nie był człowiekiem mieszkającym na ulicy, lecz w tej chwili na kolanach jego białych pantalonów widniały ślady bezpośredniego kontaktu z brudnymi kamieniami bruku.

Guld miał niewiele szacunku dla rozpieszczonych magów. Byli zbyt

oddaleni od ludzkich spraw, pogrążeni w księgach, naiwni i dorastali za wolno. Ophan zbliżał się już do sześćdziesiątki, ale nadal miał twarz małego brzdąca.

To oczywiście zasługa alchemii. A wszystko w imię próżności.

– Stulu Ophan! – zawołał, spoglądając w zażawione oczy maga. – Skończyłeś już swój odczyt?

To pytanie świadczyło o braku wrażliwości, ale takie właśnie Guld najbardziej lubił zadawać.

Pękaty mag podszedł do niego.

– Skończyłem – potwierdził ochrypłym głosem, oblizując sinawe wargi.

To wymaga opanowania. Interpretacja talii chwilę po morderstwie.

– I co?

– To nie był demon, Sekull ani Jhorligg. To był człowiek.

Sierżant Guld skrzywił się, poprawiając hełm w miejscu, gdzie wełniana wyściółka otarła mu czoło do żywego.

– O tym już wiedzieliśmy. To samo powiedział nam ostatni uliczny wróżbita. Za co właściwie król dał ci więzę w swojej twierdzy?

Twarcz Stula Ophana pomroczyła.

– To na rozkaz króla tu przyszedłem – warknął. – Jestem nadwornym magiem. Moje wróżby mają bardziej... – zająknął się -...bardziej biurokratyczną naturę. Takie krwawe morderstwo to nie moja specjalność, prawda?

Guld zasepił się jeszcze bardziej.

– Używasz talii do prowadzenia rejestrów? To dla mnie nowość, magu.

– Nie bądź głupcem. Miałem na myśli to, że moja magia koncentruje się na zagadnieniach administracji. Na sprawach królestwa i tak dalej. – Stul Ophan rozejrzał się wokół, garbiąc zaokrąglone plecy. Gdy wreszcie odnalazł wzrokiem przykryte zwłoki, jego ciało przebiegł dreszcz. – To... to są najohydniejsze czary, uczynek szaleńca...

– Chwileczkę – przerwał mu Guld. – Zabójca jest czarodziejem?

Stul skinął głową. Usta mu drżały.

– Jest potężnym nekromantą i biegle maskuje swój ślad. Nawet szczury nic nie widziały. A przynajmniej nic, co zostałyby w ich mózgach...

Szczury. Czytanie ich myśli stało się w Laluni sztuką. Żądni łupów czarnoksiężnicy tresują te cholerstwa i wpuszczają je do kurhanów, gdzie spoczywają kości ludu martwego od tak dawna, że nawet jego nazwa nie zachowała się w pamięci miasta.

Ta myśl uspokoiła go nieco. Jeśli magowie i szczury widzieli to samo, znaczyło to, że na świecie jest jednak prawda.

Dziękujemy Kapturowi za szczurołapów. Te nieustraszone skurczybyki splunęłyby czarnoksiężnikowi pod nogi, nawet gdyby ta ślina była ostatnią kroplą wilgoci na świecie.

– A gołębie? – zapytał niewinnie.

– Gołębie w nocy śpią – odparł Stul, spoglądając z niesmakiem na sierżanta. – Pewnych granic nie zamierzam przekraczać. Szczury są w porządku. Ale gołębie... – Pokręcił głową, odchrząknął i rozejrzał się w poszukiwaniu spluwaczki. Rzecz jasna, nie znalazł jej, odwrócił się więc i splunął na bruk. – Ponadto, w zabójcy zrodziło się upodobanie do szlachty...

Guld prychnął pogardliwie.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, magu. To był daleki kuzyn dalekiego kuzyna. Średnio zamożny kupiec tekstylny, który nie pozostawił spadkobierców...

– To wystarczająco blisko. Król żąda rezultatów. – Stul Ophan przyglądał się sierżantowi z wyrazem twarzy mającym sugerować wzgardę. – Tu chodzi o twoją reputację, Guld.

– Reputację?

Sierżant roześmiał się z goryczą, po czym odwrócił się, zapominając na moment o magu.

O reputację? To moja głowa spoczywa na katowskim pieńku, a szary układa już kamienie na stos. Szlacheckie rody ogarnął popłoch. Podgryzają

pomarszczone nogi króla, gdy tylko nie całują ich uniżenie. Jedenaście nocy, jedenaście ofiar. Żadnych świadków. Całe miasto jest przerażone. Sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Muszę znaleźć tego skurwysyna. Muszę zobaczyć, jak wije się nadziany na szpikulce u Bramy Pałacowej. Czarodziej to coś nowego. Wreszcie mam jakąś wskazówkę.

Spojrzał na przykryte kawałkiem strzechy ciało kupca.

Od ofiar nie dowiedzieliśmy się niczego. To powinno było dać mi do myślenia. A uliczni wróżbici byli dziwnie spięci i nerwowi. To mag wystarczająco potężny, by zastraszyć przeciętnego użytkownika. I, co jeszcze gorsze, nekromanta, koś, kto potrafi uciszać dusze albo wysyłać je do Kaptura, nim jeszcze krew ostygnie.

Stul Ophan odchrząknął po raz drugi.

– No cóż – odezwał się. – W takim razie do jutra rana.

Guld wzdrygnął się, a potem otrząsnął.

– On w końcu popełni błąd... jesteś pewien, że zabójca jest mężczyzną?

– Prawie.

Guld wbił wzrok w maga. Stul Ophan cofnął się o krok.

– Prawie? A co to właściwie znaczy?

– No więc, wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z mężczyzną, ale jest w tym coś dziwnego. Przyjąłem założenie, że po prostu starał się zamaskować ten fakt przez jakieś nieskomplikowane zaklętka i tak dalej...

– Kiepsko rzucone? Czy to pasuje do maga, który potrafi uciszać dusze i usuwać wspomnienia ze szcurzych mózgów?

Stul Ophan zmarszczył brwi.

– Hmm, nie, to faktycznie raczej nie ma sensu.

– Pomyśl nad tym jeszcze trochę, magu – rozkazał Guld i choć był tylko sierżantem w Straży Miejskiej, Ophan odpowiedział na jego polecenie pośpiesznym skinieniem głowy.

– Co mam powiedzieć królowi? – zapytał mag.

Guld wepchnął kciuki za pas do miecza. Minęły lata, odkąd ostatnio

wyciągał broń, ale w tej chwili wielce by się ucieszył, gdyby trafiła się okazja. Przyjrzał się tłumowi, morzu twarzy, które napierało na pierścień strażników, zaciskając go coraz bardziej.

To może być każde z nich. Ten charczący żebrak o opadających kącikach ust. Tych dwóch szczurołapów. Tamta staruszka ze swymi lalkami u pasa. To jakiegoś rodzaju czarownica, widziałem ją już przedtem, na miejscu każdej z tych zbrodni. Teraz gorąco pragnie zabrać się do roboty nad kolejną lalką, jedenastą. Przesłuchiwałem ją przed sześcioma dniami. Nie należy zapominać, że ma tyle włosów na podbródku, że można by ją wziąć za mężczyznę. Albo może ów nieznajomy o smagłej twarzy. Pod tym pięknym płaszczem ma zbroję, a u pasa broń znakomitej roboty. To z pewnością cudzoziemiec, bo w tych okolicach nikt nie używa jednosiecznych bułatów. To może być każde z nich. Morderca mógł przyjść tu, by obejrzyć swe dzieło w świetle dnia, przyglądać się z triumfem temu z miejskich strażników, który ma najwięcej doświadczenia, gdy chodzi o takie sprawy.

– Powiedz Jego Królewskiej Mości, że mam już listę podejrzanych.

W gardle Stula Ophana zrodził się dźwięk, który mógł wyrażać niedowierzenie.

– Poinformuj też króla Seljure'a – ciągnął z przekąsem sierżant – że jego nadworny mag okazał się w miarę pomocny i że mam jeszcze do niego wiele pytań, oczekuję więc, że poświęci wszystkie swe siły pomocy w moich dociekaniach.

– Oczywiście – wychrypiał Stul Ophan. – Z woli króla jestem na twe rozkazy, sierżancie.

Odwrócił się i odszedł do czekającej nań karety.

* * *

Guld westchnął.

Lista podejrzanych. Ilu jest magów w Smętnej Laluni? Stu? Dwustu? A ile

jest wśród nich prawdziwych talentów? Ilu przyływa tu na statkach kupieckich? Czy zabójca to cudzoziemiec, czy też ktoś z miejscowych zszedł na złą drogę? Zaawansowana magia ukrywa w sobie głębiny, mogące wypaczyć nawet najspokojniejszy umysł. A może to cień, który wyrwał się na swobodę, wylazł z jakiegoś poobijanego kurhanu, cały wściekły i nieszczęśliwy? Czy kopano ostatnio jakieś głębokie doły? Lepiej zapytać wyrównywaczy. Ale cienie? To nie w ich stylu...

Dzwony zadźwięczały jak szalone i nagle umilkły. Guld zmarszczył brwi, po czym przypomniał sobie rozkaz, który wydał młodemu kapralowi.

O cholera, czyżby chłopak potraktował to dosłownie?

* * *

W sali „Smakowitego Baru”, zagraconej, lecz niemal pozbawionej gości, snuł się poranny dym z paleniska, na którym przygotowywano śniadanie. Emancipor zasiadł za jedynym tu okrągłym stolikiem, nieopodal tylnej ściany, w towarzystwie Kreege’a i Dully’ego, którzy zamawiali wciąż nowe dzbanki, aż wreszcie ranek przeszedł w popołudnie. Niesmak, jakim zwykle wypełniała Emancipora ta para szczerów portowych, zmniejszyła się z każdym kuflem pianistego *ale*. Zaczął nawet słuchać prowadzonej przez nich rozmowy.

– Seljure zawsze chwiejnie siedział na tronie – mówił Dully, drapiąc się w baryłkowatą pierś pod pokrytą plamami soli kamizelką. – Już od czasów, gdy Jheckowie zdobyli Stygg, a on nie zdecydował się na inwazję. Teraz mamy hordę dzikusów po drugiej stronie cieśniny, a Seljure nie potrafi zdobyć się na nic poza czczymi groźbami.

Znalazł wesz i uniósł ją, by przyjrzeć się insektowi, nim wsadzi go sobie do ust.

– To nie są do końca dzikusy – sprzeciwił się Kreege, cedząc powoli słowa. Potarł szczecinę porastającą jego masywną zuchwę i przymrużył

powieki małych, ciemnych oczek. – Jheckowie nie należą do prostych hord. W ich panteonie roi się od duchów, demonów i tak dalej, a wódz wojenny jest odpowiedzialny przed starszymi w każdej kwestii, pomijając plany bitew. Niewykluczone też, że naprawdę jest kimś szczególnym, biorąc pod uwagę jego sukcesy. W końcu Stygg padł w ciągu jednego dnia i jednej nocy, a kto wie, jaką magią włada sam wódz. Ale jeśli starsi...

– To mnie nie obchodzi... – przerwał mu Dully, wymachując wysmarowaną tłuszczem dłonią, jakby opędzał się od portowych much. – Ciesz się, że Jheckowie nie potrafią wytyczyć prostego kursu na Mętach. Słyszałem, że spalili styggijskie galery w portach. Jeśli ten przykład tępogłowej głupoty nie kosztował wodza wojennego jego kapelusza z piórami, to ci starsi mają mniej rozumu niż jeżowce. To wszystko, co mam do powiedzenia. To Seljure, który chwiejnie siedzi na tronie, może uczynić ze Smętnej Laluni łatwą zdobycz.

– To szlachta nakłada miastu kajdany – nie ustępował Kreege. – I Seljure’owi też. Do tego w niczym mu nie pomaga fakt, że jego jedyną dziedziczką jest niewyżyta ladacznica, zdeterminowana pójść do łóżka z każdym szlachcicem czystej krwi w całej Laluni. Są również kapłani, którzy także mu nie pomagają tymi wszystkimi zapowiedziami zagłady i innymi takimi bzdurami. Na tym właśnie polega problem, i to nie tylko w Smętnej Laluni. Tak samo wygląda to we wszystkich miastach na świecie. Zdegenerowane dynastie i wiecznie jęczący kapłani. Klasyczny przykład podziału władzy i walki o bogactwa złupione z prostych ludzi. A my jesteśmy tylko mułami dźwigającymi jarzmo.

– Potrzebny nam król, który miałby kawałek kręgosłupa, i to wszystko – poskarżył się Dully.

– Tak właśnie mówili w Korelu, kiedy ten nadęty kapitan, Szalony Jelec, zagarnął tron. Ale wkrótce potem nikt już nic nie mówił, bo wszyscy byli martwi albo i gorzej.

– Wyjątek potwierdza regułę...

– Nie w polityce.

Obaj starszankowie łypali na siebie spode łba. Potem Dully trącił Kreege’a łokciem i powiedział do Emancipora:

– I co Mancy, znowu szukasz pracy, hę? – Obaj robotnicy portowi uśmiechnęli się szeroko. – Wygląda na to, że miałeś ostatnio szczęście Chłopaka do pracodawców. Niech Pani ma w opiece biednego głupka, który się zgodzi cię zatrudnić. Nie chcę powiedzieć, że jesteś złym pracownikiem, oczywiście.

Kreege uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając nierówne, próchnicze pieńki zębów.

– A może Kaptur zrobił cię swoim Heroldem? – zauważył. – Zastanawiałeś się nad tym? No wiesz, to się zdarza. Ostatnio nie mamy tu zbyt wielu wróżbitów czytających talię, więc trudno to określić. Pan Śmierci wybiera sobie, kogo chce, i nie można nic na to poradzić, nieprawdaż?

– Kreege ma trochę racji – poparł go Dully. – Jak umarł twój pierwszy pracodawca? Słyszałem, że utopił się we własnym łożu. Miał płuca pełne wody i odcisk dłoni na ustach. Na oddech Kaptura, cóż za śmierć...

Emancipor chrząknął, spoglądając na swój kufel.

– Sierżant Guld ustalił prawdę, Kreege. To było skrytobójstwo. Luksor wdał się w niewłaściwą grę z nieodpowiednimi ludźmi. Guld szybko znalazł zabójcę i skurwysyn wisiał na haku przez długie dni, zanim wyśpiewał, kto pociągał za jego sznurki.

Wypił długi łyk, by uczcić przeklętą pamięć Luksora. Dully pochylił się nad blatem. Jego przekrwione oczy błyszczały.

– Ale co z następnym, Mancy? Cyrulik powiedział, że jego serce eksplodowało. Wyobraź to sobie tylko. Do tego był jeszcze taki młody, że mógłby być twoim synem.

– I taki gruby, że mógłby przechylić karetę, gdyby nie siedział pośrodku – odwarknął Emancipor. – Ja wiem to najlepiej, bo sam wpychałem go do środka i wyciągałem na zewnątrz. Zawsze powtarzam, że każdy sam

decyduje o własnym losie.

Wypił resztę *ale*, by uczcić pamięć biednego, grubego Septryla.

– A teraz kupiec Baltro – ciągnął Kreege. – Słyszałem, że ktoś wyciął mu flaki, a do tego język, żeby śledczy nie mogli zmusić ducha do mówienia. Ludzie gadają, że był tam nadworny mag królewski, który obwąchiwał buty Gulda.

Emancipor uniósł wzrok i popatrzył, mrugając, na Kreege'a. Kręciło mu się w głowie.

– Nadworny mag? Naprawdę?

– Chyba nie masz się czego bać, co? – zapytał Dully, unosząc brwi.

– Baltro był szlachetnie urodzony – stwierdził z drzeniem Kreege. – To, co mu zrobiona między nogami...

– Zamknij się – warknął Emancipor. – Był dobrym człowiekiem, na swój sposób. Pamiętaj, że plucie do morza nie uspokoi wiatru.

– Jeszcze jedną kolejkę? – zapytał Dully, chcąc załagodzić spór.

Emancipor skrzywił się wściekle.

– Skąd masz tyle forsy?

Dully uśmiechnął się, dłubiąc w zębach.

– Pozbywamy się ciał – wyjaśnił, robiąc przerwę na beknięcie. – Nie ma dusz, zgadza się? Zniknęły, nie zostawiając żadnego śladu. Tak, jakby nigdy ich nie było. Kapłani mówią, że to tylko mięso. Nie zgadzają się odprawiać obrządków ani uczcić ich pamięci, bez względu na to, ile bliscy zapłacili im z góry. Nie chcą nawet dotknąć tych ciał i kropka.

– Naszym zadaniem jest zabierać je na plażę – wyjaśnił Kreege. Kłapnął zębami. – Dzięki temu kraby są tłuste i smaczne.

Emancipor wytrzeszczył oczy.

– Łapiecie kraby i potem je sprzedajecie!

– Czemu by nie? Chyba nie smakują inaczej, prawda? Trzy emolle na funt. Całkiem nieźle na tym wychodzimy.

– To... okropne.

– To zwykły interes – sprzeciwił się Dully. – Zresztą pijesz za te pieniądze, Mancy.

– No jasne – dodał Kreege.

Emancipor potarł twarz, która nagle mu zdrętwiała.

– No, ale jestem w żałobie, prawda?

– Hej! – zawołał Dully, prostując się. – Widziałem na placu ogłoszenie. Ktoś szuka lokaja. Jeśli możesz jeszcze chodzić prosto, mógłbyś tam zajrzeć.

– Zaczekaj... – odezwał się Kreege z zakłopotaną miną, ale Dully wymierzył mu kuksańca w bok.

– To jest jakiś pomysł – podjął Dully. – Ta twoja żona nie lubi, jak jesteś bezrobotny, prawda? Nie chodzi o to, że jestem wścibski. Chcę ci tylko pomóc.

– Na centralnym słupie?

– Ehe.

Na oddech Kaptura. Tych dwóch handlarzy krabami lituje się nade mną.

– Lokaja, tak? – Zmarszczył brwi. Powożenie karetami było dobrą robotą. Wolał konie od większości ludzi. Ale lokajstwo... musiałyby się ciągle płaszczyć. – Nalej mi jeszcze jeden kufel, dla uczczenia pamięci Baltra, a potem pójdę to zobaczyć.

Dully wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W takim właśnie duchu... hmm... – Poczerwieniał na twarzy. – Nie chodzi mi o Baltra, oczywiście.

* * *

Idąc w stronę Ronda Rybnego, Emancipor przekonał się, że wypił za dużo piwa. Widział mnóstwo prostych linii, ale trudno mu się było ich trzymać. Gdy dotarł na rondo, świat wirował już wokół niego, a kiedy zamknął oczy, czuł się tak, jakby jego umysł spadał przez mroczny tunel. A gdzieś na jego dnie czekała Subly, która zawsze powtarzała mężowi, że podąży za nim przez

Bramę Kaptura, jeśli, umierając, zostawi jej dług albo wpędzi w jakieś inne kłopoty. Mógł niemal słyszeć, jak pyskuje demonom, gdzieś tam na dole. Zaklął pod nosem i poprzysiągł, że będzie miał oczy otwarte.

– Nie mogę umrzeć – mruknął. – Poza tym to tylko trunek. Nie umieram ani nie spadam. Jeszcze nie. Człowiek potrzebuje pracy, potrzebuje grosza, ma obowiązki.

Słońce prawie już zaszło i rondo opustoszało. Handlarze i rzemieślnicy naprawiający sieci zamknęli swe stragany, a gołębie i mewy przechadzały się nie niepokojone przez nikogo pośród nagromadzonych w ciągu dnia śmieci. Nawet opierający się o mur przy wejściu na rondo Emancipor wyczuwał nerwowy pośpiech handlarzy ryb. Noc przynosiła teraz ze sobą w Smętnej Laluni nową grozę i nikt nie był skłonny zwlekać, gdy cienie się wydłużały. Emancipor zastanawiał się, dlaczego nie czuje strachu. Z pewnością była to odwaga zrodzona z *ale*. Ponadto kroki Kaptura nieraz już zbliżały się bardzo do ścieżki jego życia i z jakiegoś powodu przekonało go to, że dzisiejszej nocy nie może go spotkać nic złego.

– Oczywiście – wymamrotał – jeśli dostanę tę robotę, wszystko może się zdarzyć. Muszę mieć oczy otwarte, tak jest.

Miejski strażnik śledził wzrokiem Emancipora, gdy ten podszedł chwiejnym krokiem do słupa ogłoszeniowego stojącego pośrodku ronda, w pobliżu Fontanny Beru. Spieniona broda boga spływała ospale do wypełnionej pierzem sadzawki. Emancipor machnął lekceważąco ręką do strażnika, który przyglądał się mu z kamienną twarzą.

– Czuję się bezpieczny! – zawołał. – Herold Kaptura! To ja nim jestem, he, he! – Zmarszczył brwi, gdy mężczyzna pośpiesznie nakreślił dłonią znak chroniący przed złem i odsunął się od niego. – To był żart! – krzyknął do niego. – Przysięgam na Kaptura... to znaczy na Siostry! Niech Zdrowie i Zaraza wzbogacą mój sos... to znaczy los. Wracaj, człowieku! Żartowałem!

Emancipor znowu zaczął mamrotać. Rozejrzał się i przekonał, że został sam. Wokół nie było żywej duszy. Wszyscy ulotnili się z nadzwyczajną

szybkością. Wzruszył ramionami i skupił uwagę na usmarowanym smołą drewnianym słupie.

Wisała na nim tylko jedna kartka. Przybito ją na wysokości jego piersi. Papier był dobrej jakości, ze szmat. Emancipor chrząknął.

– To drogi papier, kurczę. Dziwne, że wisi tu tak długo. – Nagle zauważył blady znak osłony, nakreślony inkaustem w prawym dolnym rogu. To nie było pomniejsze zaklătko, mające wywołać czyraki u rodziny tego, kto byłby na tyle głupi, by ukraść kartkę, ani nawet coś umiarkowanie paskudnego, jak impotencja czy utrata włosów. Nie, wewnątrz okrągłego znaku nakreślono wprawną kreską czaszkę. – Na brodę Beru – wyszeptał Emancipor. – Śmierć. Ta cholerna kartka przeżyje sam słup.

Zbliżył się podenerwowany, by odczytać słowa. Ich wygląd wskazywał na rękę wynajętego skryby, i to dobrego. Gdyby Emancipor był trzeźwy, mógłby coś wywnioskować z tych wszystkich szczegółów. Ponieważ był pijany – i zdawał sobie z tego sprawę – wysiłek związany z poważnym namysłem wydawał mu się stanowczo zbyt wielki. Wiedział, że zachowuje się nierozważnie, ale jeśli nie chciał wracać do Subly nieodziany w płaszcz zatrudnionego, musiał podjąć ryzyko.

Oparł się ręką o słup i nachylił nad kartką, mrużąc oczy. Na szczęście tekst był krótki.

Potrzebny lokaj. Pełne godziny pracy.

Podróże. Pensja do uzgodnienia, zależnie od doświadczenia.

Czekamy w gospodzie „Pod Żałobnikiem”.

„Pod Żałobnikiem”... to tuż za rogiem. I „podróże”. Na kapuzę Kaptura, to by znaczyło... no cóż, znaczyłoby dokładnie to, co miało znaczyć...

Poczuł, że jego gumowata twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu, aż wreszcie zaczęła go boleć z czystego zachwyty.

Żoneczka dostanie pieniążki, a ja będę daleko, daleko od domu. He, he.

Jego ręka zsunęła się ze słupa. Gdy się ocknął, leżał na bruku, wpatrując się w bezchmurne nocne niebo. Bolał go nos, lecz było to odległe cierpienie. Usiadł i rozejrzał się wokół, nadal mocno zamroczony. Na rondzie nie było nikogo oprócz kilku uliczników, którzy przyglądali się mu z wylotu zaułka. Wszyscy sprawiali wrażenie rozczarowanych, że się obudził.

– Ulegacie złudzeniom – mruknął, wstając. – Idę znaleźć nową robotę, natychmiast. – Zachwiał się, nim zdołał się wyprostować. Obmacał kurtkę i spodnie stangreta, było jednak za ciemno, by potrafił określić, w jakim są stanie. Rzecz jasna, były wilgotne, ale to nie stanowiło dlań niespodzianki, biorąc pod uwagę gęsty splot sztywnego w ramionach płaszcza oraz jego długie rękawy o ciasnych mankietach. – Zresztą pewnie dadzą mi liberię – mruknął. – Może nawet szytą na zamówienie.

„Pod Żałobnikiem”. Tędy.

Wydawało mu się, że droga trwa bez końca, wreszcie jednak ujrzał szyld z płaczącym mężczyzną umieszczony nad wejściem do wąskiej trzypiętrowej gospody. W żółtym świetle zawieszanej na haku pod szyldem lampy widać było odźwiernego, który opierał się o zdobną framugę. U jego skózanego pasa wisiał masywny knut. Gdy zobaczył zbliżającego się Emancipora, jedna z jego mięsistych dłoni przesunęła się na uchwyt.

– Zmiataj, staruszku – warknął.

Emancipor zatrzymał się na granicy oświetlonego obszaru, chwiejąc się lekko na nogach.

– Jestem umówiony – oznajmił, prostując się i wysuwając podbródek.

– Nie tutaj.

– Jestem lokajem. Mam tu robotę, tak jest.

Odźwierny uniósł rękę i podrapał się po ciemieniu tuż nad guzowatym czołem.

– Chyba nie na długo, sądząc z tego, jak wyglądasz i cuchniesz. No, ale...

– Podrapał się znowu, a potem uśmiechnął szeroko. – Zjawiasz się o odpowiedniej porze. No wiesz, teraz pewnie nie śpią. Właż do środka i

przedstaw się skrybie. On cię do nich zaprowadzi.

– Tak właśnie zrobię, dobry człowieku.

Odźwierny otworzył drzwi. Emancipor posuwał się naprzód ostrożnie i zdołał wejść do środka, nie obijając się o framugę. Przystanął, gdy drzwi zamknęły się za nim, i zamrugał, oślepiiony jasnym blaskiem sześciu świec stojących na półkach naprzeciwko wieszaka z ubraniami. Sądząc z wyglądu pozłacanej miski, która stała na półce poniżej świec, zapalił je jakiś wyznawca D'rek.

Podszedł bliżej i zajrzał do miski. Wypełniała ją kłębiąca się masa białych robaków, którym krew jakiegoś nieszczęsnego zwierzęcia nadała lekko różową barwę. Emancipora dopadły mdłości. Oparł się dłońmi o ścianę, czując, że gardło wypełnia mu gorzkie pieniste *ale*. Zwymiotował do naczynia, nie widząc żadnego innego miejsca, w którym mógłby to zrobić.

Robaki miotały się w bursztynowej, usianej plamkami piany żółci, jakby tonęły.

Emancipor zachwiał się, otarł usta, a potem brzeg miski, i odwrócił się od ściany. W powietrzu unosiła się woń jakiegoś styggijskiego kadzidła, słodka jak gnijące owoce. Miał nadzieję, że to wystarczy, by ukryć smród wymiocin. Stłumił kolejny atak mdłości, a potem głęboko odetchnął, powoli i ostrożnie.

– Kto idzie? – odezwał się ktoś po prawej w głębi korytarza.

Na korytarz wyszedł z bojaźliwą miną chudy, zgarbiony staruszek o palcach czarnych od inkaustu. Gdy tylko zauważył Emancipora, wyprostował się, piorunując intruza spojrzeniem.

– Czy ten tępogłowy wół Dalg do cna oszalał? – Skryba podbiegł do Emancipora. – Wynocha, wynocha! – zawołał, wymachując rękami. Stanął jednak jak wryty, gdy intruz odpowiedział śmiało:

– Więcej uprzejmości, mój panie! Zatrzymałem się tu na chwilę, żeby, hmm, złożyć ofiarę Robakowi Jesieni. Jesztem lokajem, jeszli łaszka. Sztawiłem się punktualnie, tak jak mi zlecono. Zaprowadź mnie do pracodawcy, i to migiem.

Zanim będę musiał złożyć kolejną ofiarę, niech mi D'rek wybaczy.

Po pomarszczonej twarzy skryby przebiegł godny aktora ciąg uczuć. Ostatnim z nich był podszyty strachem szacunek. Staruszek wciąż przesuwał czarnym koniuszkiem języka po suchych wargach. Po chwili skryba uśmiechnął się nagle do Emancipora, który obserwował go zafascynowany.

– Sprytny jesteś, co? To trafna decyzja. – Dotknął palcem czubka nosa. – Tak jest. Pożoga wie, że do pracy dla tych dwóch przyszedłbym tylko w takim stanie. To nie znaczy, że źle im życzę, no wiesz. Ale mam swój rozum i wiem, że zalany w pestkę lokaj świetnie pasuje do godziny i do cienia, jaki oni rzucają. To odpowiednia postawa i tak dalej, hę? No wiesz – ujął Emancipora za ramię i poprowadził go w stronę wiodących na górę schodów – pewnie cię wyleją, bo to twoja pierwsza noc i tak dalej, ale i tak warto było. Są na najwyższym piętrze. To najlepsze pokoje w całej gospodzie, jeśli komuś nie przeszkadzają nietoperze pod okapem. Idę o zakład, że dla nich to chleb z masłem.

Wspinaczka po schodach i nagła lekkość w żołądku otrzeźwiły nieco Emancipora. Gdy dotarli ze skrybą na czwarty pomost, przeszli wąskim korytarzem i zatrzymali się przed ostatnimi drzwiami po prawej, zaczęło do niego docierać, że z beładnej gadaniny skryby można było wyczytać jakieś dziwne fakty na temat jego nowych pracodawców.

Nowych? To znaczy, że już mnie przyjęli? Nie, nie przypominam sobie niczego w tym rodzaju.

Spróbował zastanowić się, o co tu może chodzić... ale bez powodzenia. Oprzytomniał już na tyle, że przygłodził dłonią upstrzone siwizną włosy, w tej samej chwili gdy zdyszany skryba zaskrobał cicho w drzwi. Po chwili rygiel się odsunął i drzwi otworzyły się bezgłośnie.

– Łaskawy panie – odezwał się pośpiesznie staruszek, pochylając głowę – przyszedł wasz lokaj.

Pokłonił się jeszcze niżej i ruszył z powrotem ku schodom.

Emancipor zaczerpnął głęboko tchu i podniósł wzrok na przyglądającego

mu się zimno mężczyzną. Gdy poczuł na sobie pełen ciężar spojrzenia jego martwych, szarych oczu, wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu dreszcz, zdołał jednak się nie wzdrygnąć. Nie spuścił też wzroku, przyjrzał się więc nieznanemu równie uważnie, jak tamten przyglądał się jemu. Jasne oczy miał głęboko osadzone w białej jak kreda twarzy o wyrazistych rysach. Jego czoło było wysokie i kwadratowe, a siwiejące, zaczesane do góry włosy długie jak u marynarza i związane w koński ogon. Z kanciastego, wystającego podbródka sterczała ostro zakończona broda, poprzesywana pasmami barwy żelaza. Mężczyzna wyglądał na czterdzieści parę lat i był odziany w długi podszyty futrem szlafrok, stanowczo za ciepły na Smętną Lalunię. Długopalce dłonie, na których nie nosił pierścieni, splótł przed jedwabnym sznurem, który zastępował mu pas.

Emancipor odchrząknął.

– Wielce szlachetny panie! – zagrzemiał.

Za głośno, niech to szlag.

Skóra wokół oczu mężczyzny napięła się ledwie dostrzegalnie.

– Jestem Emancipor Reese, znamienity lokaj, stangret, kucharz... – dodał nieco ciszej.

– Jesteś pijany – przerwał mu mężczyzna. Emancipor nigdy w życiu nie słyszał takiego akcentu. – I masz złamany nos, chociaż wygląda na to, że krwawi coraz słabiej.

– Najpokorniej przepraszam, panie – zdołał wykrztusić Emancipor. – Za mój stan winą obciążam żałobę. Za nos słup ogłoszeniowy albo może brukowce.

– Żałobę?

– Tak, panie. Przeżyłem sztraszliwą, osobistą tragedię.

– To bardzo przykre. Wejź do środka, panie Reese.

Pomieszczenie zajmowało czwartą część najwyższego piętra. Stały w nim dwa łóżka z baldachimami, zasłane wymiętą pościelą, biurko skryby z szufladami i skórzanym blokiem listowym, a przed biurkiem taboret. Ściany

zdobiły kiepsko namalowane freski, wprawione w tanie płyciny. Po lewej stronie biurka znajdowała się wielka garderoba. Przez otwarte drzwi było widać, że jest pusta. Obok szafy ulokowano wejście do prywatnej łazienki, zasłonięte wyszywaną paciorkami kotarą z miękkiej skóry. Pod jedną ze ścian ustawiono cztery poobijane, sięgające piersi Emancipora kufry podróżne. Tylko jeden miał otwartą pokrywę i widać w nim było piękne stroje cudzoziemskiego kroju, umieszczone na żelaznych wieszakach. W pokoju nie było nikogo więcej, lecz wyczuwało się tu obecność drugiej osoby, co potwierdzało również niepościelone łóżce. Jediną naprawdę osobliwą rzecz stanowiła tu leżąca na bliższym łóżku płyta szarego łupku wielkości talerza. Emancipor zmarszczył brwi na jej widok, a potem westchnął i uśmiechnął się pogodnie do mężczyzny, który stał spokojnie przy drzwiach. Zdążył je już zamknąć, zaciskając pętlę.

Jest wysoki. To ułatwia symulowanie ukłonów.

– Czy możesz przedstawić mi jakieś referencje, panie Reese?

– Och, tak, oczywiście! – Emancipor złapał się na tym, że kiwa bez przerwy głową. Spróbował przestać, ale bez powodzenia. – Od mojej żony Subly. Trzydzieści jeden lat...

– Chodziło mi o poprzedniego pracodawcę.

– On nie żyje.

– To od jeszcze poprzedniego.

– Też nie żyje.

Mężczyzna uniósł cienką brew.

– A ten, który był jeszcze przedtem?

– Również nie żyje.

– A przedtem?

– Przedtem byłem sternikiem na żaglowcu kupieckim *Słony Osad*. Przez dwadzieścia lat pływałem do Styggu Krwawym Spacerem.

– A co się stało z tym statkiem i jego kapitanem?

– Leżą sześćdziesiąt sążni pod wodą, nieopodal Szelfu Ridry.

Druga brew uniosła się, dołączając do pierwszej.

– Masz imponującą historię, panie Reese.

Emancipor zamrugął.

Jak on to robi z tymi brwiami?

– To prawda. A wszystko to byli dobrzy ludzie.

– A czy... obchodzisz po nich żałobę co noc?

– Słucham? Aha. Nie, nie. Tylko następnego dnia, łaskawy panie. Tylko wtedy. Biedny Baltro był uczciwym człowiekiem...

– Baltro? Kupiec Baltro? Czy to nie on był ostatnią ofiarą tego szaleńca, który grasuje nocami po mieście?

– W rzeczy samej. Byłem ostatnim człowiekiem, który go widział żywego.

Brwi mężczyzny uniosły się jeszcze wyżej.

– Oprócz zabójcy, oczywiście – dodał Emancipor.

– Oczywiście.

– Nikt nigdy się na mnie nie skarżył.

– Wywnioskowałem to z twoich słów, panie Reese. – Mężczyzna rozprostował ręce i wskazał na stojący przy biurku taboret. – Usiądź, proszę. Spróbuję ci opisać, czego oczekuję od swego lokaja.

Emancipor ponownie się uśmiechnął i usiadł na stołku.

– Czytałem w ogłoszeniu, że w grę wchodzi podróż.

– To ci nie odpowiada, panie Reese?

Mężczyzna przystanął u stóp jednego z łóżek, ponownie krzyżując ręce przed sobą.

– Bynajmniej. To zaleta. Teraz, gdy na morzach się uspokoiło i można zapomnieć o krwawym mycie, ogarnęła mnie tęsknota za morską pianą, za kołysaniem się pokładu i horyzontu, za portami, zwrotami i szotami... czy coś się stało, panie?

Mężczyzna zaczął się wiercić nerwowo, a jego już przedtem blada twarz nabrała szarawego odcienia.

– Nie, po prostu wolę podróżować lądem. Jak rozumiem, umiesz czytać? Czy może kogoś wynajmowałeś?

– Nie, nie, umiem czytać, panie. Mam do tego talent. Czytam po laluniowemu, kradzieżowemu i styggijsku. Nauczyłem, się tego z map morskich. No wiesz, panie, nasz pilot lubił miód pitny...

– A czy potrafisz również pisać w tych językach, panie Reese?

– Tak jest. Czytanie i pisanie. Hej, umiem nawet czytać po mell'zańsku!

– Po malazańsku?

– Nie, mell'zańsku. Chodzi o imperium.

– Oczywiście. Powiedz mi, czy masz coś przeciwko temu, żeby pracować nocą, a spać za dnia? Jak rozumiem, jesteś żonaty...

– To bardzo mi odpowiada, panie.

Mężczyzna zmarszczył brwi, a potem skinął głową.

– Bardzo dobrze. W skład obowiązków wchodzi załatwianie codziennych spraw związanych z wymogami podróży. Rezerwacja miejsc na statku, negocjacje z władzami portowymi, wyszukiwanie lokum odpowiadającego naszym potrzebom, dbanie o to, by nasze ubiory były czyste, wypchnione i wolne od robactwa, i tak dalej. Robiłeś już takie rzeczy, panie Reese?

– Takie i gorsze... chciałem powiedzieć: takie i więcej, panie. Umieję też czesać i podkuwać konie, naprawiać uprzęż, szyć, czytać mapy, orientować się według gwiazd, wiązać węzły, splatać liny...

– Tak, tak, bardzo dobrze. A teraz pomówmy o zapłacie...

Emancipor uśmiechnął się.

– Jestem wyjątkowo tani, panie. Wyjątkowo tani.

Mężczyzna westchnął.

– Z takimi talentami? Nonsens, panie Reese. Nie doceniasz siebie. Zaproponuję ci roczny kontrakt i zdeponuję odpowiednią sumę w szanowanej agencji, by zapewnić regularny transfer środków do twojej rodziny. Gdy będziesz nam towarzyszył w drodze, o twoje osobiste potrzeby zadbamy gratis. Czy suma tysiąca dwustu standardowych sztuk srebra rocznie będzie

do zaakceptowania?

Emancipor wytrzeszczył oczy.

– Słucham? – zapytał mężczyzna.

– No więc, hmm...

– Dobrze, niech będzie tysiąc pięćset.

– Zgoda! Tak jest. Oczywiście, łaskawy panie!

Na oddech Kaptura, to więcej niż zarabia Baltro! To znaczy, zarabiał.

– Gdzie mam podpisać kontrakt, łaskawy panie? Czy mam zacząć od zaraz?

Emancipor wstał ze stołka, czekając niecierpliwie na odpowiedź.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Kontrakt? Jak sobie życzysz. Dla mnie to nie ma znaczenia.

– Hmm, a jak mam się do ciebie zwracać, łaskawy panie? „Łaskawy panie”?

– Nazywam się Bauchelain. Wystarczy zwykły pan.

– Oczywiście, panie. A, hmm, co z tym drugim?

– Z tym drugim?

– Z twoim towarzyszem podróży, panie.

– Aha. – Bauchelain odwrócił się, zatrzymując w zadumie wzrok na łupkowej płycie. – Nazywa się Korbal Broach. Można powiedzieć, że jest bardzo skromnym człowiekiem. Jako lokaj odpowiadasz przede mną i tylko przede mną. Wątpię, by pan Broach przewidywał dla ciebie jakieś zadania. – Odwrócił się i uśmiechnął lekko, lecz jego oczy były zimne jak zawsze. – Oczywiście, mogę się mylić. No cóż, pewnie się przekonamy. A teraz chciałbym dostać coś do jedzenia. Krwiste mięso i ciemne wino, nie za słodkie. Możesz złożyć zamówienie u skryby na dole.

Emancipor pokłonił się.

– Już się robi, panie.

* * *

Guld stał na szczycie poskrzypującej Wieży Martwego Sekaranda, obserwując miasto. Mrużył powieki, by przebić wzrokiem miazmaty drzewnego dymu, wiszące niemal nieruchomo nad dachami. Cisza panująca na dole kontrastowała dziwnie z nocnymi chmurami nad jego głową. Skłębione obłoki pędziły ku morzu. Wydawało się, że są tak nisko nad nim, że zgarbił się instynktownie, wsparty o omszałą balustradę. Sierżant czekał z lękiem na zapalenie lamp sygnałowych.

To była typowa dla tej pory roku pogoda. Wydawało się, że niebo wywraca się do góry nogami, całymi dniami więżąc miasto w swym oddechu. Czas chorób, epidemii, szczurów wywabianych na ulice przez tańczący księżyc.



Wieżę Martwego Sekaranda wybudowano przed niespełna dziesięciu laty, lecz już została opuszczona i opowiadano, że w niej straszy. Guld nie bał się jednak, bo sam osobiście karmił czarne chwasty uporczywych pogłosek. Znalazł nowy użytek dla zbudowanego z matowych kamieni gmachu i owe plotki temu sprzyjały. Z tego położonego niemal w samym środku miasta punktu można było obserwować stworzony przez niego system umieszczonych na tyczkach lamp sygnałowych w niemal całej Smętnej Laluni.

W dniach, gdy państwowo-miastom Kradzieży po raz pierwszy zagroziło Imperium Mell'zańskie – głównie na drugim wybrzeżu, gdzie imperialna pięść Szara Grzywa wysadził swe siły inwazyjne i omal nie podbił całej wyspy, zanim zamordowali go jego własni żołnierze – w dniach dymu i groźnych wichrów do Smętnej Laluni przybył Sekarand. Kazał się tytułować wielkim czarodziejem i podpisał kontrakt z królem Seljure'em, zobowiązując się pomóc w obronie miasta. Wybudował tę wieżę jako ośrodek swej mocy. O tym, co wydarzyło się później, po dziś dzień wiadano niewiele, choć Guld znał więcej szczegółów niż większość mieszkańców. Sekarand przywołał lisze, by dotrzymywały mu towarzystwa w zamkniętym budynku, a one doprowadziły go do obłądu bądź wręcz zamordowały. Wielki czarodziej rzucił się – albo zrzuciono go – z tych właśnie blanków i roztrzaskał się na bruku na dole. Na ulicach przez pewien czas opowiadano makabryczne dowcipy o jego szybkim upadku. Tak czy inaczej, podobnie jak Mell'zańscy – którzy utrzymali na Kradzieży tylko jeden zapyziały port na południowo-zachodnim wybrzeżu, obsadzony przez pół pułku znudzonej piechoty morskiej – Sekarand okazał się niespełnioną obietnicą.

Guld korzystał z wieży już od trzech lat. Widział tu kilka cieni. Wszystkie z nich poprzysięgły służbę liszowi, który mieszkał w fundamentach budowli, ale poza tą jedną informacją nie mówiły wiele i nigdy nie próbowały zagrozić sierżantowi. Natura ich służby u lisza pozostawała tajemnicą.

To Guld prosił je, by od czasu do czasu wyły i jęczały, co odstraszało

rabusiów oraz ciekawskich. Spełniały jego życzenie z niestrudzonym zapalem.

Chmury zasnuwały niebo gęstą kołdrą, tak jak pragnął tego Guld. Sprawiały wrażenie rozdętych od krwi. Sierżant stał bez ruchu, w każdej chwili spodziewając się, że na twarz spadnie mu pierwsza kropla jakiegoś płynu.

Po pewnym czasie wyczuł u swego boku czyjąś obecność. Odwrócił się powoli i zobaczył, że obok zapadni unosi się cień.

Był odziany w postrzępione łachmany, a z widmowych kończyn zwisały powiązane w węzły pasy żaglowego płótna i wyblakłego jedwabiu, a także kawałki sznurka – wszystko to łączyło go ze światem śmiertelników. Czarne otwory oczu, osadzone w bladej twarzy, skierowały się na sierżanta.

Guld wyczuł z nagłym przypiływem niepokoju, że zabrakło tylko paru chwil, by cień skoczył mu na plecy.

Jedno pchnięcie i wylądowałbym na dole...

Gdy go zauważył, widmowa postać oklapła, mamrocząc coś do siebie.

– Podoba ci się ta pogoda? – zapytał go Guld, tłumiąc dreszcz.

– Powietrze – wychrypiał cień – tłumii dźwięk i zapach. Zasłania obraz. Ale tańczy niedostrzegalnie.

– Nie rozumiem.

– To powietrze tańczy promiennie pośród grot. Mój pan, mój władca, lisz nad liszami, najwyższy zwierzchnik, Ten Kto Obudził Się Półprzytomny po stuleciach drzemki, ale teraz Pęka Od Bystrości Umysłu, jednym słowem: mój pan, przysłał mnie... mnie, pozbawionego poczucia humoru poddanego, pokornego badacza niesprawiedliwości społecznej, niesprawiedliwości, która z pewnością przetrwała po dziś dzień, jednym słowem: mnie. Na jego stanowczy rozkaz przychodzę z ostrzeżeniem.

– Z ostrzeżeniem? To znaczy, że tę pogodę wywołały czary?

– Nocą krąży tu łowca.

– Wiem o tym – warknął Guld. – Czy wyczułeś coś więcej? – zapytał, nie

licząc na zrozumiałą odpowiedź.

– Mój pan, mój władca, lisz nad...

– Twój pan – przerwał mu Guld. – I co z nim?

– ...liszami, najwyższy zwierzchnik, Ten Kto...

– Dość już tych tytułów!

– ...Obudził Się Półprzytomny po...

– Czy mam wezwać egzorcystę, cieniu?

– Gdybyś mi tak po grubiańsku nie przerywał, zdążyłbym już skończyć! – warknął duch. – Jednym słowem, mój pan nie chce trafić na listę jego ofiar. To wszystko.

Guld skrzywił się wściekle.

– Jak bardzo wredny może być ten zabójca? Mniejsza z tym, właśnie mi odpowiedziałeś na to pytanie, prawda? W tej chwili nie jestem w stanie go powstrzymać, bez względu na to, kim jest. Jeśli postanowi wytropić twojego pana, to, no cóż, mogę tylko życzyć liszowi szczęścia.

– Bardzo zabawne – poskarżył się cień, po czym zniknął powoli.

Zabawne? Cienie z tej wieży są cholernie dziwne, nawet jak na swój rodzaj. Tak czy inaczej, myśl dalej, Guld. Smętna Lalunia słynie ze swych czarodziejów, swych wróżbitów i interpretatorów, czarnoksiężników, badaczy studni, jasnowidzów i tak dalej, ale większość z nich to płotki. Nikt nigdy nie twierdził, że wyspa Kradzież jest ośrodkiem zaawansowanej cywilizacji. W Korelu podobno księżę demonów kieruje kompanią handlową, a w starych miejskich moczarach na nizinach martwiaki są pospolite jak meszki. Cieszę się, że tam nie mieszkam. O czym to myślałem? Aha, podejrzani...

Podczas następnej godziny nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Minął czwarty dzwon po północy. Guld nie był jednak zaskoczony, gdy chwilę później trzy kołyszące się światła wzniosły się w panicznym pośpiechu nad pogrążonymi w mroku budynkami w sąsiedniej dzielnicy.

Dwunasty. Noc po nocy, bez końca...

Być może Stul Ophan miał rację. Lampy zapaliły się w dzielnicy rezydencji, gdzie biło skurczone, bezkrwiste serce szlachty.

Sierżant obrócił się na blankach i postąpił jeden krok ku zapadni. Nagle się zatrzymał. Dotyk deszczu na czole przeszył jego kości przesądnym dreszczem. Po chwili otrząsnął się.

To nie krew. Tylko woda, nic więcej. Nic więcej.

Szarpnął gniewnie za ciężką, drewnianą klapę i zszedł pośpiesznie w ciemność na dole.

Przez całą drogę do wyjścia towarzyszyło mu wycie cieni. Tym razem Guld wiedział, że ich zimne jak lód jęki dobywające się z kamiennych murów wokół niego nie mają na celu odstraszenia złodziei i poszukiwaczy przygód.

* * *

Godzinę przed świtem Bauchelain rozkazał Emanciporowi, by pościelił mu łóżko. Drugi mężczyzna, Korbal Broach, nadal się nie pokazał, ale nie wydawało się, by zaniepokoiło to Bauchelaina, który spędził noc na wypisywaniu znaków oraz magicznych symboli na kawałkach łupku. Siedział za biurkiem długie godziny, pochylając się nad szarymi kamieniami. Wytrawiał i pisał, mrużąc coś pod nosem i co chwila zaglądając do jednej z sześciu oprawnych w skórę ksiąg. Każda z nich była warta rocznych zarobków z uwagi na cenę samego papieru.

Emancipor, skacowany i śmiertelnie zmęczony, kręcił się po pokoju. Już przedtem wyniósł resztki kolacji i posprzątał najlepiej, jak potrafił. W kufrze podróżnym Bauchelaina znalazł piękną, czarną kolczugę. Miała długie rękawy i sięgała kolan. Naoliwił ją i załatał uszkodzenia – przecięte i zmiażdżone ogniwa – używając zapasowego drutu. Nie ulegało wątpliwości, że kolczuga widziała walkę i człowieka, który ją nosił, z pewnością również. Jeśli jednak spojrzeć na Bauchelaina, co Emancipor często robił kącikiem

oka, trudno było uwierzyć, że mógł on kiedyś być żołnierzem. Pisał, mamrotał pod nosem, mrużył powieki i od czasu do czasu wystawiał język, pochylając się nad łupkiem. Przypominał raczej artystę, alchemika albo czarodzieja.

Emancipor doszedł do wniosku, że to cholernie dziwny sposób na spędzanie nocy. Stłumił ciekawość, przygaszoną już przez jego podejrzenia, że ten człowiek w rzeczy samej para się mrocznymi sztukami.

Im mniej zauważę, tym lepiej. Zawsze tak mówiłem.

Uporał się z kolczugą i odniósł ją na miejsce, stękając pod ciężarem wyślizgującego mu się z rąk metalu. Gdy wsuwał jej wyścielane ramiona na ciężki wieszak, zauważył długą, płaską skrzynkę, ustawioną pod hakami. Była na niej zasuwka, ale nie zamknięto jej na klucz. Emancipor uniósł skrzynkę, ponownie stękając z wysiłku, i ustawił ją na wolnym łożu. Zerknął na Bauchelaina i upewnił się, że nie zwraca on uwagi na jego poczynania, odsunął więc zasuwkę i uniósł pokrywę. W środku była rozmontowana kusza, dwanaście okutych żelazem bełtów oraz para kolczych rękawic, otwartych na koniuszkach palców i po wewnętrznej stronie dłoni.

Wróciły wspomnienia młodości, pola bitwy, którą legendy miały zwać Pechem Estbanora. Tam właśnie obdarta milicja z Kradzieży – nim jeszcze każde z jej miast wybrało sobie własnego króla – odparła legiony najeźdźców z Korelu. Niektórzy z korelrijskich żołnierzy mieli mell'zańską broń – znakomicie wykonaną i lepszą od miejscowej. To była właśnie taka kusza, wykonana przez kowalskiego mistrza, zrobiona w całości z utwardzanego, hartowanego żelaza, a być może ze sławnej d'avoriańskiej stali. Nawet jej łoże było metalowe.

– Na oddech Kaptura – wyszeptał Emancipor, przesuwając palcami po fragmentach uzbrojenia.

– Uważaj na groty – powiedział cicho Bauchelain, który wstał i zatrzymał się za jego plecami. – Zabijają przy najlżejszym dotyku, jeśli ktoś się o nie zrani.

Emancipor cofnął trwoźnie dłoń.

– Trucizna?

– Masz mnie za skrytobójcę, panie Reese?

Emancipor odwrócił się i spojrzał w oczy rozbawionego pracodawcy.

– W swoim czasie parałem się różnymi zajęciami – ciągnął Bauchelain – ale nie było wśród nich zawodu truciciela. Są nasycone.

– Jesteś czarodziejem?

Bauchelain wykrzywił usta w lekkim uśmiešku.

– Wielu jest takich, którzy nadają sobie to miano. Czy jesteś wyznawcą jakiegoś boga, panie Reese?

– Moja żona często przeklina... hmm, chciałem powiedzieć, że modli się do kilku, panie.

– A ty?

Emancipor wzruszył ramionami.

– Pobożni też umierają, nieprawdaż? A olejek goździkowy dla Ascendentu tylko podwaja koszty pogrzebu i to, moim zdaniem, wszystko. Co prawda, zdarzało mi się modlić bardzo zawzięcie i możliwe, że uratowało mi to skórę, albo może po prostu miałem do tej pory farta i udało mi się uniknąć cienia Kaptura...

Oczy Bauchelaina złagodniały nieco, wpatrzyły się w pustkę.

– Do tej pory... – powtórzył, jakby w tych słowach ukrywał się jakiś głęboki sens. Nagle klepnął swego lokaja po ramieniu i wrócił za biurko. – Czeka cię długie życie, panie Reese. Nie widzę cienia cienia, a twarz twojej śmierci jest odległa.

– Twarz? – Emancipor oblizał wargi, które nagle zrobiły się niezwykle suche. – To znaczy, że, hmm, wywróżyłeś moment mojej śmierci?

– W takim stopniu, w jakim jest to możliwe – odparł Bauchelain. – Niektórych zasłon nie da się łatwo zerwać. Sądzę jednak, że dowiedziałem się wszystkiego, co potrzebowałem wiedzieć. – Przerwał na chwilę. – Tak czy inaczej, ta broń nie wymaga czyszczenia. Możesz ją schować do

pojemnika.

A więc to nie tylko czarodziej. To zbrukany dotknięciem Kaptura, parający się sprawami śmierci nekromanta. Niech cię szlag, Subly, czego ja nie robię...

Zatrzasnął pokrywę i zamknął zasuwkę.

– Panie?

– Hmm?

Bauchelain ponownie zajął się płytką łupku.

– Moja twarz w chwili śmierci? Czy rzeczywiście ją widziałeś?

– Twoją twarz? Tak, mówiłem ci.

– I czy była pełna strachu?

– Nie. To dziwne, ale wydaje się, że umrzesz roześmiany.

* * *

– Umrę roześmiany – mruknął Emancipor, wlokąc się pustymi, ciemnymi ulicami. Oczyma wyobraźni widział tylko swe miękkie, ogrzane przez Subly łoże. – To zapewne cholerne kłamstwo, chyba że zrezygnuję i ucieknę tak daleko od tego handlarza śmierci, jak to tylko możliwe. Królowo Snów, w jakąż to kabałę się wpakowałem. To z całą pewnością jest Chłopak Szczęścia, nie Pani. Pchnięcie, nie pociągnięcie. Byłem pijany. Za bardzo pijany, żeby to wywęszyć, a potem było już za późno. Do tego widział moją śmierć. Ma mnie w ręku. Nie mogę rzucić tej roboty. Wyśle coś za mną, ghula albo k'niptrilla, czy jakieś cholerne widmo, żeby wyrwało mi serce. Subly będzie przeklinała okrwawioną pościel na Skale Praczki. Będzie musiała kupić mnóstwo ługu i klątwa padnie na moje imię, chociaż stanę się już trupem, a bachory będą się biły o moje nowe buty i...

Zatrzymał się z głośnym stęknieniem, wpadając na obcego mężczyznę o ciele twardym jak bela skór. Emancipor odsunął się i zauważył z trwogą, że nieznajomy jest wielki jak półkrwi Trel.

– Przepraszam pana – rzekł, pochylając głowę.

Mężczyzna uniósł zakute w czarną kolczugę ramię, zakończone wielką, płaską, jasną dłonią, która wyglądała na miękką, niemal delikatną.

Emancipor odsunął się jeszcze o krok. Miał wrażenie, że w powietrzu między nimi zaiskrzyło i coś szarpnęło mocno za jego wnętrzności.

Nagle dłoń zadrżała, palce zatrzepotały, a ramię opadło powoli. Spod kaptura nieznajomego dobiegł cichy chichot.

– Dobry losie, on nosi mój znak – powiedział wysoki mężczyzna drżącym głosem.

– Powiedziałem „przepraszam, panie” – odezwał się ponownie Emancipor. Uświadomił sobie, że przebywa w dzielnicy rezydencji, jako że poszedł najkrótszą drogą od „Żałownika” do domu. To było cholernie głupie, gdyż szlachecką dzielnicę patrolowali teraz krwiożerczy strażnicy domowi, zdeterminowani schwytać szalonego zabójcę z uwagi na bezpieczeństwo swych panów oraz obiecaną nagrodę. – Przepuść mnie, proszę – ciągnął Emancipor, próbując wyminąć nieznajomego. W pobliżu nie było nikogo innego, a do świtu zostało jeszcze ćwierć dzwonu.

Nieznajomy zachichotał raz jeszcze.

– Cóż za zbawczy znak. Poczujesz zimny dreszcz?

Cholernie dziwny akcent.

– Noc jest upalna – wymamrotał Emancipor, okrążając go pośpiesznie. Nieznajomy pozwolił mu odejść, ale gdy Emancipor się odeń oddalał, czuł na plecach jego zimne spojrzenie.

Po chwili zauważył ze zdziwieniem opatuloną w płaszcz postać – drobną i kobietą – podążającą pośpiesznie chodnikiem po drugiej stronie. Jeszcze bardziej zaskoczył go zakuty w szeleszczącą, pobrzękującą cicho zbroję mężczyzna, który szedł za kobietą.

Heroldzie Kaptura, słońce nawet jeszcze nie wzeszło!

Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Przed sobą zauważył jakieś poruszenie. Widział lampy i słyszał głośne nawoływania, a po chwili krzyk

kobiety. Zawahał się, a potem skręcił w boczną uliczkę, co pozwoliło mu ominąć miejsce incydentu i wrócić na lepiej znane tereny.

Czuł, że pod ubraniem zalewa go pot, jakby przed chwilą otarł się o... coś nieprzyjemnego. Otrząsnął się.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj. Do nocnej pracy i tak dalej. Chociaż nic mi nie groziło, nie było szans, żebym tej cholernej nocy się roześmiał.

* * *

– Paskudna sprawa – mruknął strażnik o białej jak kreda twarzy, ocierając usta grzbietem dłoni.

Guld skinął głową. To było najgorsze z dotychczasowych morderstw. Młody panicz Hoom, dziewiąty w kolejce do tronu, zginął haniebną śmiercią. Większą część jego trzewi wyciągnięto na zewnątrz i rozsmarowano po połowie zaułka.

A mimo to nikt nic nie usłyszał. Sierżant przybył na miejsce zbrodni niespełna ćwierć dzwonu po tym, jak dwaj patrolujący dzielnicę strażnicy miejscy znaleźli zwłoki. Krew i strzępy ciała nie zdążyły jeszcze ostygnąć.

Guld skierował do akcji psy tropiące. Posłał do pałacu swego kaprała z dwiema wiadomościami. Jedna z nich była przeznaczona dla króla, a druga – sformułowana znacznie mniej oględnie – dla maga Stula Ophana. Poza jego oddziałem i przerażonym koniem, nadal zaprzężonym do przewróconej karety panicza – przewróconej, na oddech Kaptura! – na miejscu zbrodni obecna była tylko jedna osoba i jej widok głęboko zaniepokoił Gulda.

Oderwał wreszcie wzrok od karety i przyjrzał się kobiecie.

Księżniczka Sharn, Jedyne dziecko króla Seljure'a. Jego dziedziczka i, jeśli wierzyć pogłoskom, naprawdę wredna sztuka.

Guld postanowił zatrzymać królewską osobistość, choć nie wątpił, że ściągnie to na niego kłopoty. W końcu to jej krzyki zwabiły tu patrol, a pytanie, co robiła księżniczka w mieście dobrze po czwartym dzwonie nocy –

bez strażnika czy nawet dworki – wymagało odpowiedzi.

Przymrużył powieki, spoglądając na dziewczynę. Spowijał ją obszerny płaszcz, a twarz niknęła w cieniu kaptura. Księżniczka odzyskała panowanie nad sobą z niepokojącą łatwością. Guld skrzywił się i podszedł do niej, odprawiając skinieniem głowy dwóch swoich ludzi, którzy stali u jej boków.

– Wasza Wysokość – zaczął – spokój, jaki okazujesz, jest imponującym dowodem na wartość królewskiej krwi. Szczerze mówiąc, jestem zachwycony.

Odpowiedziała na komplement lekkim skłonieniem głowy.

Guld potarł szczękę, odwracając na chwilę wzrok. Potem spojrzał na dziewczynę ze skupioną, profesjonalną miną.

– Czuję też ulgę, bo znaczy to, że mogę przesłuchać cię tu i teraz, gdy twoja pamięć jest jeszcze świeża...

– Nie bądź bezczelny – odparła księżniczka lekko znudzonym tonem.

Zignorował jej słowa.

– Nie ulega wątpliwości, że mieliście z paniczem Hoomem potajemny romans. Ale tym razem spóźniłaś się albo on przyszedł za wcześnie. Pociągnięcie Pani dla ciebie, a pchnięcie Pana dla chłopaka. Wyobrażam sobie, jak wielką ulgę czujesz, księżniczko, nie wspominając już o twoim ojcu, którego z pewnością wkrótce o wszystkim zawiadomią. – Przerwał, słysząc, jak wciągnęła szybko powietrze. – Muszę się dowiedzieć, co dokładnie zobaczyłaś po przybyciu w to miejsce. Czy kogoś widziałaś? Coś słyszałaś? Czulaś jakiś specyficzny zapach?

– Nie – odpowiedziała. – Hoomy był... był już, hmm, taki jak teraz. – Wskazała na zaułek za plecami Gulda.

– Hoomy?

– Panicz Hoom.

– Powiedz mi, księżniczko, gdzie jest twoja służąca? Nie wierzę, byś przyszła tu zupełnie sama. Z pewnością była twoim posłem w tym romansie, bo przypuszczam, że miłosne liściki fruwały między wami dość często...

– Jak śmiesz...

– Zachowaj to dla swoich unizonych sługusów – warknął Guld. –
Odpowiadaj!

– Nie rób tego! – rozkazał ktoś zza pleców sierżanta.

Guld odwrócił się i zobaczył maga Stula Ophana, który przepchnął się przez szereg strażników. Zbliżał się już świt i przybyciu grubasa towarzyszył śpiew ptaków, co robiło osobliwe wrażenie.

– Wasza Wysokość – rzekł Stul, pochylając głowę. – Twój ojciec, król, chce się natychmiast z tobą widzieć. Możesz skorzystać z mojej karety. – Mag przeszył Gulda spojrzeniem ostrym jak sztylet. – Sądzę, że sierżant skończył już z tobą rozmawiać.

Obaj mężczyźni odsunęli się, przepuszczając księżniczkę Sharn, która pośpiesznie zniknęła w karecie. Gdy tylko drzwi się zatrzasnęły, a stangret poruszył lejcami, każąc koniom ruszać, Guld natychmiast naskoczył na maga.

– Rozumiem, że panicz Hoom nie był odpowiednim towarzyszem zabaw dla naszej drogocennej księżniczki, i wyobrażam sobie, że Seljure chciałby ukryć wszelkie związki łączące rodzinę królewską z tą sprawą, ale jeśli jeszcze raz staniesz między mną a moim dochodzeniem, oddam krabom to, co z ciebie zostanie. Jasne?

Mag zrobił się czerwony na twarzy, a potem biały.

– To rozkaz króla, Guld... – zapluł się.

– A gdybym to jego zastał tu nad zmasakrowanym ciałem tego chłopaka, moje pytania byłyby równie dociekliwe. Król to tylko jeden człowiek. Jego strach jest niczym w porównaniu ze strachem całego miasta. Możesz mu powiedzieć, że jeśli chce mieć czym władać, to lepiej niech mi nie wchodzi w drogę i pozwoli wykonywać swoją robotę. Bogowie, człowieku, czy nie wyczuwasz tej paniki?

– Wyczuwam! Na krew Pożogi, ja też nie jestem na nią odporny!

Guld złapał Stula Ophana za kołnierz brokatowego płaszcza i pociągnął

go do zaułka.

– Przyjrzyj się dokładnie, magu. Uczyniono to w absolutnej ciszy. Nikt się nie obudził w posiadłościach po obu stronach. Nawet psy w ogrodach nie szczekały. Powiedz mi, magu, kto to zrobił?

Puścił Stula Ophana i odsunął się od niego. Mag rzucił pośpiesznie serię zaklętek. Powietrze wokół niego wypełnił lodowaty chłód.

– To było zakłęcie milczenia, sierzancie – wychrypiał. – Chłopak krzyczał. Bogowie, jak on krzyczał. Ale powietrze zamknęło się wokół niego. To potężne czary, Guld, najpotężniejsze ze wszystkich. Nawet ślad zapachu nie mógł się przedostać, by wystraszyć psy po drugiej stronie tych murów...

– A kareta? Wygląda tak, jakby staranował ją wściekły byk. Sprawdź konia, do cholery!

Stul Ophan powlókł się do drżącego, spienionego zwierzęcia. Gdy wyciągnął rękę, koń stanął dęba i wybałuszył ślepią, tuląc uszy do czaszki. Mag zaklął.

– Doprowadzono go do obłądu! Serce wali mu jak szalone, ale zwierzę nie może ruszyć się z miejsca. Zdechnie za godzinę...

– Ale co widział? Jaki obraz utrwalił się w jego oczach?

– Nic tam nie ma – odparł Stul Ophan. – Wszystko wymazano.

Obaj mężczyźni odwrócili się, słysząc szybko zbliżający się tętent uderzających o bruk kopyt. Pojawił się zakuty w zbroję jeździec, śmiało przepychający się na swym białym rumaku między strażnikami miejskimi.

Kapturze, i co za pożytek z tego kordonu?

Przybysz miał biały, podszyty futrem płaszcz, żelazny hełm pokryty białą emalią oraz srebrną kolczą kurtę. Gałka jego pałasza wyglądała na wielki, szlifowany opal.

Guld zaklął pod nosem.

– Co cię tu sprowadza, Śmiertelny Mieczu?! – zawołał do jeźdźca.

Mężczyzna ściągnął wodze i zdjął hełm, odsłaniając wąską, naznaczoną

bliznami twarz oraz czarne, błyszczące, blisko osadzone oczy, które skierował na oświetlone lampami miejsce zbrodni.

– To najohydniejszy ze wszystkich uczynków – wychrypiał słabym, urywanym głosem. Opowiadano, że przed dwunastu laty sztylet skrytobójcy D'rek omal nie przebił mu gardła, ale Tulgord Vise, Śmiertelny Miecz Sióstr, wyszedł z tego spotkania z życiem, a skrytobójca nie.

– To nie jest religijna sprawa – stwierdził Guld – chociaż dziękuję ci, że przysiągłeś krążyć po mieście, dopóki nie schwytemy zabójcy...

– Schwytemy? Poprzysiągłem porąbać go na drobne kawałki. A co ty możesz wiedzieć o sprawach wiary, cyniczny niedowiarku? Czy nie czujesz w tej sprawie smrodu Kaptura? A ty, magu, czy zaprzeczysz prawdziwości moich słów?

Stul Ophan wzruszył ramionami.

– To z pewnością był nekromanta, Śmiertelny Mieczu, ale to wcale nie musi znaczyć, że jest czcicielem Boga Śmierci. Co więcej, kapłani Kaptura potępiają nekromancję. W końcu owe mroczne sztuki są atakiem na Grotę Śmierci...

– Zapierają się tego wyłącznie z powodów politycznych. Jesteś płaczkliwym, pozbawionym kręgosłupa durniem, Ophan. Krzyżowałem już miecze z Heroldem Kaptura. Czyżbyś o tym zapomniał?

Guld zauważył, że jeden z jego strażników wzdrygnął się na te słowa.

– Tulgordzie Vise – rzekł. – Tu celem nie była śmierć. Nie była nim w żadnym z tych przypadków.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że zabójca... gromadzi...

– Gromadzi?

– Części.

– Części?

– Mówiąc ściślej, narządy. Te, które na ogół uważa się za niezbędne do życia, Śmiertelny Mieczu. Ich usunięcie prowadzi do natychmiastowej

śmierci. Dostrzegasz różnicę?

Tulgord Vise wsparł się na łęku siodła.

– Semantyka nie jest grą, której zwykłem się oddawać. Jeśli potrzebuje wyłącznie narzędzi, to po co niszczy dusze?

Guld spojrzał na maga.

– Niszczy, Stulu Ophan?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Albo... kradnie, sierżancie, co oczywiście jest trudniejsze.

– Ale po co miałyby kraść dusze, jeśli ich zniszczenie lepiej służy celowi, jakim jest uniemożliwienie ci zadawania im pytań?

– Nie mam pojęcia.

Tulgord Vise opadł z powrotem na siodło, zaciskając zakutą w stal dłoń na rękojeści miecza.

– Nie próbuj mnie powstrzymywać, sierżancie – ostrzegł Gulda. – Mój miecz wymierzy sprawiedliwą karę.

– Lepiej niech szalenciec powije się na hakach – sprzeciwił się sierżant. – Chyba że uważasz, iż potrafisz ugasić żądzę krwi mieszkańców miasta.

Te słowa uciszyły Śmiertelnego Mieczu, ale tylko na chwilę.

– Mój uczynek spotka się z ich aprobatą, sierżancie...

– To nie wystarczy, Śmiertelny Mieczu. Lepiej będzie, jak powłóczymy go po wszystkich ulicach. Ale to nie zależy ode mnie. Tak czy inaczej – dodał, podchodząc bliżej – to ty nie wchodź mi w drogę. Ostrzegam cię, Śmiertelny Mieczu.

Tulgord Vise wyciągnął już miecz do połowy, nim Stul Ophan podskoczył do niego i złapał go za ramię.

– Tulgord, nie bądź pochopny! – pisnął mag.

– Zabieraj tę wątłą łapę, świnió!

– Rozejrzyj się wokół, Śmiertelny Mieczu! Błagam!

Tulgord zrobił to, po czym wsunął powoli miecz do pochwy. Najwyraźniej, w przeciwieństwie do Stula Ophana, nie słyszał odgłosu

sześciu ładowanych kusz. Wszystkie były teraz wymierzone w niego, a wyraz twarzy ludzi z drużyny Gulda nie pozostawiał wątpliwości co do ich intencji.

Sierżant odchrząknął.

– To dwunasta noc z rzędu, Śmiertelny Mieczu. Jestem przekonany, że dla moich ludzi ta sprawa nabrała bardzo osobistego charakteru. Chcemy dorwać zabójcę i dorwiemy go. Dlatego powtarzam: nie wchodź mi w drogę. Nie chcę cię urazić ani znieważać twego honoru, ale jeśli jeszcze raz chwycisz za miecz, zastrzelimy cię jak wściekłego psa.

Tulgord Vise odtrącił kopnięciem Stula Ophana i zawrócił konia.

– Drwisz z bogów, sierżancie. Twoja dusza za to zapłaci.

Wbił ostrogi w boki rumaka i odjechał.

Scenę zamknął nagły upadek zaprzęzonego do karety konia. Potem rozległ się ciężki trzask wystrzelonych w jego kierunku bełtów. Guld skrzywił się, gdy sześć pocisków wbiło się głęboko w ciało zwierzęcia.

Cholera, ale ich paluszki swędziały.

Obrzucił zażenowanych ludzi kwaśnym spojrzeniem.

Stul Ophan wykorzystał tę niezręczną chwilę na poprawienie ubrania.

– Twój zabójca jest cudzoziemcem, sierżancie – stwierdził później, nie podnosząc wzroku. – Nikt w Smętnej Laluni, w tym również ja, nie włada nekromancją na tak wysokim poziomie.

Guld podziękował mu skinieniem głowy.

– Złożę raport królowi – oznajmił mag, gdy wróciła jego kareta. – Powiem mu, że ograniczyłeś listę podejrzanych, sierżancie. Dodam też opinię, że, jeśli nikt ci nie przeszkodzi, powinieneś wkrótce schwytać winnego.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – odparł Guld tonem szczerego powątpiewania, który wyraźnie zaskoczył Stula Ophana.

Mag tylko kiwnął głową i ruszył w stronę karety.

Guld zaczekał, aż Ophan odjedzie, po czym odwołał na bok jednego ze swoich ludzi. Przyjrzał się twarzy młodzieńca i powiedział:

– Widzę, że Herold Śmierci przeciął ci drogę?

– Słucham?

– Widziałem, jak zareagowałaś na słowa Vise'a. Oczywiście, on miał na myśli kogoś innego w tej odrażającej roli, ponieważ przechwala się tym już od dwudziestu lat. Co jednak ty usłyszałaś w jego słowach?

– To przesąd, sierżancie. Widziałem takiego pijanego staruszka, nocą w dzielnicy portowej. Mówił, że jest Heroldem Śmierci. To wszystko. Nie było w tym nic...

– A co on robił?

– Chyba czytał ogłoszenie na Rondzie Rybnym. Ono ciągle tam wisi. Słyszałem, że ma osłony.

– To zapewne nie ma nic wspólnego ze sprawą.

– Jak bogowie zrządzą, sierżancie.

Guld przymrużył powieki, a potem chrząknął.

– No dobrze. Jak już złożę raport królowi, pójdziemy obejrzyć to ogłoszenie.

– Tak jest.

W tej samej chwili wrócił tropiciel z psami.

– Nic z tego – zameldował. – Sądząc z tego, jak ciągnęły, złapały trop pozostawiony przez kobietę albo mężczyznę, a może oboje, albo żadne z nich. Jeden, drugi, a potem trzeci. Ten ostatni pachniał chyba morską wodą i olejem do miecza, więc psy i tak tańczyły na śladzie.

Guld przyjrzał się sześciu zwierzętom. Wszystkie zwiesiły łby, wywalając języki, a ich smycze zwisały luźno.

– I dokąd prowadziły te wszystkie tropy?

– Zgubiły je na nabrzeżach. Trudno się przebić przez smród rozkładających się małży i rybich flaków, he? Albo może ślady zaczarowano. Wszystkie moje dzieci wywęszyły wór z gnijącymi rybami. To do nich niepodobne, zupełnie niepodobne.

– Sądząc po odorze, twoje psy nie tylko wywęszyły ten wór.

Tropiciel zmarszczył brwi.

– Pomyśleliśmy sobie, że lepiej będzie ukryć nasz zapach, sierżancie.

Guld podszedł do mężczyzny, a potem odsunął się gwałtownie.

Niech mnie Kaptur, nie tylko psy wytarzały się w tych rybach!

Przeszył wzrokiem tropiciela.

Mężczyzna odwrócił wzrok, oblizał wargi, a następnie ziewnął.

* * *

Z największego pokoju dobiegał głos Subly.

– Gołębie! Gnieźdzą się nad naszymi głowami, w okapie i w rynnach. Czemu nic z tym nie zrobisz, Emancipor? A teraz... teraz, och, Soliel broń!

Jej głos docierał do wszystkich zakamarków domu. Tutaj nie było przed nim ucieczki.

– Ale niedługo... – wyszeptał Emancipor.

Wiedział, że jest w paskudnym nastroju z powodu braku snu i wczorajszego nadużycia trunku, i że jest niesprawiedliwy dla swej biednej żony, ale ta świadomość nie mogła powstrzymać mrocznego nurtu jego myśli. Zatrzymał się, by obejrzeć w blaszanym lustrze niewyraźny zarys swej naznaczonej zmarszczkami twarzy oraz przekrwione oczy. Potem wziął brzytwę i zabrał się do golenia.

Bachory skomlały na stryszku, szamocząc się tak głośno, że słyszał każde drapanie brudnych pazurów. Odesłano je do domu i oba miały parchy. Ich matka była... zdruzgotana. Będą potrzebowali alchemika, który kosztuje bardzo drogo, ale szkoda już się nie odstanie. Ohydnie cuchnąca, atakująca skórę pleśń, która była przekleństwem psów i nędznych uliczników, wtargnęła do ich domu, podważyła ich pozycję, obniżyła prestiż, zadrwiła z dumy. Nawet wypełniona złotymi monetami miska w świątyni Soliel nie mogła już odwrócić nieszczęścia. Zdaniem Subly przyczyna była oczywista...

– Gołębie, Emancipor! Chcę się ich pozbyć! Słyszałeś?

Rankiem była w całkiem niezłym nastroju. Nie do końca zdołała ukryć szok wywołany wieścią, że Emancipor tak szybko znalazł pracę, a jeszcze gorzej poradziła sobie z zamaskowaniem błysku chciwości, który pojawił się w jej oczach, gdy wyjaśnił jej finansowe warunki umowy. W zamian za to nie wzięła jeszcze miotły i nie wygoniła go na brudne, pełne śmieci oraz odłamków łupku podwórko, by policzył się z gołębiami. Pozwoliła mu nawet na dodatkową godzinę snu, nim zaczęła wrzeszczeć przerażona haniebnym powrotem dzieci od nauczyciela.

Teraz mogli sobie pozwolić na alchemika. Mogli sobie nawet pozwolić na to, by przeprowadzić się bliżej szkoły, do lepszej dzielnicy, pełnej szacownych ludzi, którym do tej pory oszczędzono poznania pełnego dramatycznych komplikacji życia Subly.

Powtarzał sobie, że nie powinien być taki złośliwy. W końcu Subly była przy nim przez wszystkie te lata.

– Jak góra...

Ona także miała swoją przeszłość, mroczną, chaotyczną i skażoną krwią. Od tego czasu również sporo wycierpiała, choć nie przeszkodziło jej to w wydaniu na świat dwóch bachorów w latach, gdy Emancipor większość czasu spędzał na morzu. Znowu przerwał golenie, by wykrzywić się do lustra. Zawsze gryzł się tą myślą, zwłaszcza że żadne z dzieci nie było szczególnie do niego podobne. Wychowywał je jednak, zrobił, co do niego należało, więc właściwie nie miało to znaczenia. Wzgarda, jaką mu okazywały, była z pewnością wystarczającym dowodem na jego ojcostwo, bez względu na to, czyja krew płynęła w ich żyłach.

Emancipor zmył z twarzy skrzepłe mydliny. Może dzisiejszej nocy spotka tego drugiego mężczyznę, tajemniczego Korbala Broacha. Wezmą też z niego miarę na nową liberię i skompletują jego podróży ekwipunek.

– Zastaw pułapki, Emanciporze Reese! Zanim wyjdiesz. Słyszałeś?

– Tak, kochanie!

– Zajrzysz do alchemika?

Wstał ze stołka i sięgnął po wiszący na słupku łoża płaszcz.

– Do którego? N’sarmina, czy Tralpa Młodszeo?

– Do Tralpa, oczywiście, ty durniu!

Koszty wzrastają o dwie srebrne korony. Subly już zdążyła się przyzwyczać do naszej nowej sytuacji...

– Zastaw pułapki! Niech Herold Kaptura odwiedzi te cholerne gołębje!

Emancipor zmarszczył brwi.

Herold Kaptura. Wczoraj wydarzyło się coś...

Pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– To przekleństwo *ale* – mruknął, odwracając się w stronę zasłony wiszącej w wejściu do sypialni. – Kochana Subly... góra, która ryczy... ale niedługo, już bardzo niedługo...

* * *

Król okazał strach w rozmowie z nim. W dawnych czasach skazałoby to Gulda na spotkanie z nożem skrytobójcy, ale Seljure był już stary – starszy niż wskazywałyby na to jego lata. Odkąd Jego Wysokość odesłał konkubiny, dzielił łoże jedynie z trwożną niepewnością. Królewscy doradcy o pełnych napięcia twarzach i węzowych spojrzeniach pozostali rzecz jasna u jego boku, ale nawet oni nie przyszli wysłuchać sprawozdania Gulda. Gdyby jednak coś zwęszyli... król okazał strach, nie tylko przed grasującym w mieście zabójcą, lecz również przed mroczną burzą, która zbierała się w Styggu, i przed złowrogimi pomrukami dobiegającymi z Układu Korelrijskiego na południu. Król... bełkotał. W rozmowie z prostym sierżantem straży. Do tego Guld wiedział teraz o drogiej księżniczce Sharn więcej niżby chciał.

Wzruszył ramionami, idąc wąską, krętą i usianą kurhanami ulicą Szkód w kierunku Ronda Rybnego. Wyglądało na to, że nad Smętną Lalunią zapada

półmrok na każdy możliwy sposób. Tak czy inaczej, wykonał swój obowiązek, złożył raport królowi Seljure'owi i zgodnie z oczekiwaniami otrzymał od niego instrukcje nakazujące mu położyć kres plotkom, że w sprawę jest zamieszana rodzina królewska. Ojca panicza Hooma, właściciela ziemskiego o znacznych wpływach, uciszono – z pewnością za pomocą szkatuły pełnej złotych monet oraz mnóstwa obietnic – i Guld wrócił na ciche, pełne napięcia ulice miasta.

Kazał kapralowi pełnić straż przy ogłoszeniu, choć śmiertelna osłona czyniła kradzież kartki wysoce nieprawdopodobną. Guld był zmuszony czekać na audiencję u Seljure'a przez większą część dnia i słońce stało już nisko na niebie nad zatoką. Wieść o zamordowaniu szlacheckiego syna wzmocniła jeszcze wiszący nad miastem całun strachu. Sklepy już zamykano i ulice pustoszały. Dzisiejszej nocy na ulicach będą grasować wynajęci zabójcy – widmowi wyraziciele gniewu szlachty – gotowi wyrzucić zemstę na każdym, kto się napatoczy. Dzisiejszej nocy każdemu, kto wyjdzie na ulice bez dobrego powodu – albo drużyny uzbrojonych po zęby strażników – groziło wyprucie flaków albo i gorszy los.

Guld minął róg i ruszył w stronę ronda. Jego kapral, który stał nerwowo z dłonią na rękojeści krótkiego miecza, został tam zupełnie sam, pomijając jednego chudego psa, zmokłą wronę siedzącą na słupie ogłoszeniowym oraz kilkanaście mew, które biły się o coś w rynsztoku.

Wiał wiatr od morza, tylko odrobinę chłodniejszy niż parne, duszne powietrze miasta. Guld otarł pot z górnej wargi i podszedł do kaprała.

– Czy ktoś próbował sprawdzić, ile jesteś wart, chłopcze?

Młodzieniec pokręcił głową.

– Nie, sierżancie. Stałem tu cały dzień.

Guld chrząknął.

– Przepraszam. Zatrzymano mnie w królewskim pałacu. Bolą cię nogi?

– Tak jest.

– No to rozruszajmy je trochę. Pamiętasz adres na ogłoszeniu?

– Tak jest. Słyszałem też od szczurołapa, że jest ich dwóch. To cudzoziemcy, którzy przyплыnęli na *Jeźdźcu Mgły*...

– Mów dalej.

Kapral przestąpił z nogi na nogę.

– Hmm, no więc *Jeździec Mgły* przyплыnął z Korelu i od tego czasu wyładował trochę żelaza i wziął na pokład inne towary. Dziś rano odpłynął do Kobyły. Aha, i cudzoziemcy przyjęli już tego lokaja.

– Tak?

– Tak jest, sierżancie. On był stangretem u kupca Baltra. Wyobraź to sobie!

Guld skrzywił się.

– Dobra, chłopcze, ruszajmy.

– Tak jest. Gospoda „Pod Żałobnikiem”. To niedaleko.

* * *

Odźwierny Dałg uśmiechnął się do Gulda z mądrą miną.

– Nie dziwię się, że cię tu widzę, sierżancie. W ogóle się nie dziwię. Chcesz pogadać z Oblerem, tak? Ale on się wycofał. Nie pożyczają już pieniędzy. Przynajmniej nie widziałem, żeby to robił, i...

– Masz tu dwóch gości – przerwał mu Guld. – Cudzoziemców.

– Ach tak, oni. Dziwna z nich para.

– A co jest w nich dziwnego?

Odźwierny zmarszczył brwi i podrapał się w głowę.

– No wiesz – mruknął. – Są dziwni. Jeden z nich nigdy nie wychodzi z pokoju, tak?

– A drugi?

– Też nie robi tego za często. Odkąd mają lokaja, nie widuję go prawie w ogóle. Aha, i nikogo nie odwiedzają ani nikt nie odwiedza ich. Posiłki też jedzą w pokoju.

Guld skinął głową.

– To znaczy, że obaj teraz tam siedzą?

– Tak.

Sierżant zostawił kaprała przy wejściu i wszedł do gospody. Natychmiast natknął się na właściciela, który podszedł do niego, trzymając w rękach ścierkę oraz ofiarną miseczkę. Miseczkę pośpiesznie odstawił na półkę, a ścierkę wepchnął sobie za pas.

– W czym mogę ci pomóc, strażniku?

Ręce właściciela zwisały luźno, a długie, poczerńiałe palce łączyły się i rozłączały w nerwowym tańcu.

– Obler, zgadza się? Zostałeś ostatnio uczciwym człowiekiem?

Mężczyzna pobladł.

– Och, tak, w rzeczy samej strażniku. Już wiele lat temu! Rozumiesz, prowadzę tę gospodę i dorabiam sobie jako skryba. Jestem teraz szanowanym obywatelem. Porządnym i tak dalej, sierzancie.

Obler zerkał nerwowo na boki.

– Chcę porozmawiać z twoimi dwoma zagranicznymi gośćmi, Obler.

– Och! W takim razie lepiej ich zawołam.

– Pójdę z tobą.

– Och! Proszę bardzo, chodź za mną, sierzancie, jeśli sobie życzysz.

Ruszyli w górę wąskimi, wyściełanymi grubą warstwą dywanów schodami, a potem skierowali się na koniec korytarza. Obler zapukał do drzwi. Po chwili oczekiwania po drugiej stronie usłyszeli starczy głos:

– O co chodzi, Obler?

– To Reese – wysyczał skryba do ucha Gulda. – Ich lokaj.

– Strażnik miejski przyszedł porozmawiać z twoimi panami, Reese! – zawołał. – Otwórz, jeśli łaska.

Guld łypnął ze złością na Oblera.

– Następnym razem – wychrypiał – po prostu każ im otworzyć te cholerne drzwi.

Usłyszał dobiegające ze środka urywki prowadzonej szeptem rozmowy. Uniósł rękę, by głośniejszym załomotać w drzwi, ale te nagle się otworzyły i lokaj wymknął się do korytarza, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Wytrzeszczył oczy, gdy uniósł wzrok i poznał sierżanta.

– Emancipor Reese – wycedził Guld. – Przesłuchiwałem cię niecałe dwa dni temu i, proszę, widzę cię znowu. To bardzo dziwne.

– Człowiek musi gdzieś pracować – wymamrotał Reese. – Nie ma w tym nic więcej.

– A czy powiedziałem, że jest?

– Stwierdziłeś, że to dziwne. Nie ma w tym nic dziwnego, pomijając fakt, że tu przyszedłeś.

Ha, stary skurczybyk ma trochę racji.

– Chcę porozmawiać z twoimi panami. Możesz mnie teraz zapowiedzieć czy co tam właściwie należy do twoich obowiązków.

– Ach, rozumiem, sierżancie. Mój pan z żalem informuje, że dziś wieczór nie przyjmuje gości, ponieważ jego badania znajdują się w krytycznym punkcie...

– Nie przyszedłem tu jako gość, starcze. Zapowiedz mnie albo zejdź mi z drogi. Chcę porozmawiać z ludźmi, którzy są w środku.

– Jest tam tylko jeden – odparł Reese. – Pan Bauchelain jest uczonym, sierżancie. Nie lubi, by mu przeszkadzano...

Guld warknął i spróbował odepchnąć Reese'a na bok, ale staruszek zapał się mocno nogami i nie ustąpił. Sierżanta zaskoczyła siła lokaja, lecz po chwili zauważył stare blizny na jego prawym przedramieniu.

To cholerny weteran. Nie znoszę mieć do czynienia z weteranami. Oni nie kapitulują łatwo.

Guld odsunął się, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

– Broniąc w ten sposób prywatności swego pana, zrobiłeś już więcej, niż można by od ciebie oczekiwać, Reese. Jestem sierżantem Straży Miejskiej i przybyłem tu w urzędowej sprawie. Jeśli będziesz mi się dalej opierał,

wylądujesz w dybach. – Guld poczuł, że mięśnie mu się napinają, gdy pomarszczona twarz Reese’a pociemniała groźnie. Cholerny weteran. – Nie utrudniaj mi zadania, Reese. Ostrzegam cię.

– Gdybym cię wpuścił, sierzancie... – głos lokaja brzmiał jak żwir poruszany falami przyboju -...zapewne by mnie wylali. Człowiek musi gdzieś pracować. Potrzebuję tej roboty, sierzancie. Jak wiesz, szczęście nigdy mi nie sprzyjało. Potrzebuję tej roboty i zamierzam ją utrzymać. Jeśli masz jakieś pytania, to może potrafisz na nie odpowiedzieć, a może nie, ale nie wpuszczę cię do pokoju.

– Na oddech Kaptura. – Guld westchnął, cofając się jeszcze o krok. Odwrócił się do Oblera, który zaczął skomleć i machać bezradnie rękami. – Przyprawdź mojego kaprała, Obler. Stoi przed budynkiem. Powiedz mu, że ma tu przyjść migiem z bronią gotową do użytku. Jasne?

– Och! Błagam, nie...

– Ruszaj! – Skryba oddalił się biegiem i Guld ponownie odwrócił się do Reese’a, który miał zrezygnowaną minę. – Reese, mój kaprał, idąc tu, narobi mnóstwo hałasu. Rozbroimy cię i unieruchomimy. Głośno. Zrobisz wszystko, co w twojej mocy, i żaden uczciwy pracodawca nie będzie mógł znaleźć powodu, by cię zwolnić. Zrób to po mojemu, Reese, a unikniesz aresztowania. Albo śmierci. W przeciwnym razie przejdziemy po tobie. Potrwa chwilę, zanim dostaniesz zadyszki i będziesz miał dość, ale w końcu cię powalimy. To jak będzie?

Reese oklapł.

– Zgoda, ty sukinsynu.

Usłyszeli wchodzącego na schody kaprała, stukot pochwy uderzającej o słupki poręczy, a następnie ciężki oddech młodzieńca, który wszedł na pomost. Miecz trzymał przed sobą, a twarz miał zaczerwienioną. Chłopak wybałuszył oczy, gdy zobaczył, że jego sierżant i lokaj przyglądają mu się spokojnie, a potem podbiegł bliżej, gdy Guld wezwał go skinieniem dłoni.

Sierżant ponownie odwrócił się do Reese’a.

– W porządku – wyszeptał. – Niech to zabrzmie przekonująco.

Wyciągnął rękę i złapał lokaja za brokatowy kołnierz kurtki. Staruszek ryknął głośno, uniósł nogę i kopnął z całej siły w drzwi za swymi plecami, aż zagrzecotały we framudze. Guld odepchnął Reese'a na bok i oparł go o ścianę. Kaprał podbiegł do nich.

– Przystaw skurwysynowi miecz do szyi! – rozkazał sierżant.

Kaprał wykonał rozkaz z niezwykłym zapałem, omal nie podrzynając Reese'owi gardła. Zaniepokojony Guld złapał go za ramię.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Stojący w wejściu mężczyzna obrzucił rozgrywającą się na korytarzu scenę chłodnym, leniwym spojrzeniem. Potem popatrzył Guldowi w oczy.

– Puść moją służbę – rzekł cicho.

Sierżant poczuł, że żyły wypełnia mu zimny dreszcz.

Z nim nie ma żartów.

Skinął na kaprała.

– Odsuń się, chłopcze.

Zdezorientowany strażnik wykonał polecenie.

– Schowaj miecz – rozkazał Guld.

Oreż wsunął się do pochwy z szelestem i trzaskiem.

– Tak lepiej – stwierdził z zadowoleniem cudzoziemiec. – Wejdz, proszę, sierżancie, skoro tak gorąco pragniesz się ze mną spotkać. Emancipor, chodź z nami, proszę.

Guld skinął głową do kaprała.

– Zaczekaj pod drzwiami, chłopcze.

– Tak jest.

Trzej mężczyźni weszli do pokoju. Reese zamknął drzwi i zasunął rygiel.

Guld rozejrzał się. Na biurku leżały... płytki łupku, a na krześle stały resztki niedawno skończonego śniadania.

To dziwne, zbliża się zmierzch.

Dwa niezasałane łóżka, kufry podróżne – jeden z nich był otwarty, w środku

wisiały męskie ubrania i kolczy płaszcz, a pod nimi stała szkatułka z jakąś bronią. Miał też fałszywy spód. Pozostałe trzy kufry były bezpiecznie zamknięte. Zbliżył się o krok do biurka i przyjrzał płytkom łupku.

– Nie poznaję tych run – stwierdził, spoglądając na nieprzystępnego gospodarza. – Skąd pochodzisz?

– Z dalekiego kraju, sierżancie. Jego nazwa, niestety, nic by ci nie powiedziała.

– Masz talent do języków – zauważył Guld.

Mężczyzna uniósł brew.

– Tylko umiarkowany. Jak rozumiem, mówię z wyraźnym akcentem.

– Jak dawno temu nauczyłeś się kradzieżowego?

– Tak się nazywa ten język? Myślałem, że to laluniowy.

– Kradzież to wyspa, a Lalunia to miasto leżące na niej. Zadałem ci pytanie.

– To znaczy, że ono jest istotne? W porządku, jakieś trzy tygodnie temu. Podczas rejsu z Korelu. Zapłaciłem jednemu z członków załogi, by udzielił nam instrukcji. Pochodził z wyspy. Zresztą ten język jest blisko spokrewniony z korelrijskim.

– Jesteś czarodziejem.

Mężczyzna potwierdził te słowa lekkim skinieniem głowy.

– Nazywam się Bauchelain.

– A twój towarzysz podróży?

– To Korbal Broach, wyzwolony eunuch, sierżancie.

– Eunuch?

Bauchelain ponownie skinął głową.

– Wśród ludu, z którego pochodzi, temu nieprzyjemnemu zabiegowi poddaje się wszystkich niewolników płci męskiej. Z oczywistych powodów Korbal Broach pragnie samotności, spokoju i ciszy.

– A gdzie obecnie przebywa? W jednym z tych kufków?

Bauchelain uśmiechnął się.

– Nie powiedziałem, że jest nieśmiały, nieprawdaż, sierżancie? Nie, przebywa poza miastem, bo nie lubi tłumów.

– A gdzie?

– Dokładnie? Nie jestem tego pewien. On... wędruje.

Guld popatrzył na płytki łupku.

– A co to jest?

– Nieudane próby, sierżancie. Miejscowy łupek wykazuje pewne intrygujące właściwości mineralne. Z pewnością właśnie dlatego używali go starożytni budowniczoie grobowców. Jest w nim naturalna energia. Staram się ją nakierować w stronę... ładu.

– Czy zamierzasz zatrzymać się w Laluni na dłużej?

Bauchelain wzruszył ramionami.

– To będzie zależało od tego, czy moje wysiłki zakończą się powodzeniem. Oczywiście – uśmiechnął się lekko – nawet moja cierpliwość ma swoje granice.

Guld usłyszał zawarte w tych słowach ostrzeżenie, lecz je zignorował.

– Jak się kontaktujesz ze swym przyjacielem, eunuchem...

Cholera, dlaczego to mnie niepokoi? W historii Laluni również były ery znające niewolnictwo i kastrację... czemu więc, w imię Kaptura, ciarki przechodzą mi po skórze?

Bauchelain ponownie wzruszył ramionami.

– Przez proste zakłátko łącznościowe. Przychodzi punktualnie na umówione miejsce.

– Czy jesteś nekromantą, Bauchelain?

Guld zadał to pytanie od niechcienia, lecz odwrócił się, by obserwować reakcję czarodzieja. Nie zauważył nic poza lekkim rozbawieniem.

– To złowrogie zajęcie, sierżancie. Nie interesuje mnie zagłądanie do Groty Kaptura...

– To znaczy, że nekromancja jest sztuką Kaptura? Niektórzy uważają, że jest wprost przeciwnie.

– Istnieje wiele przypuszczeń na ten temat. Osobiście zgadzam się z teorią mędrca Kulpa Starszego, która mówi, że nekromancja zajmuje przedsionek Groty Kaptura, miejsce przejścia między życiem a śmiercią. Nekromanta mógłby wiedzieć więcej na ten temat, ale w ich naturze nie leży objaśnianie tej kwestii. Ci, którzy parają się Sztuką Śmierci są rzecz jasna bardzo skryci.

Guld skinął głową i podszedł powoli do drzwi.

– Twój lokaj to prawdziwy uparciuch, Bauchelain. Był gotowy oddać życie w obronie twojej prywatności.

– Gdybym to przewidział – odparł Bauchelain, spoglądając na Reese’a – dodałbym do wydanych mu poleceń ostrzegawczą klauzulę dotyczącą tych, którzy nie wiedzą, co to znaczy „nie”.

Guld chrząknął.

– Świetny pomysł. Mało brakowało, a straciłbyś dobrego pracownika.

– To byłaby szkoda. Dziękuję ci za troskę. Czy to już wszystko?

– Na razie – odparł Guld, zatrzymując się przy drzwiach. – Zapłaciłeś za pokój z góry?

– Do końca tygodnia, sierżancie. Czemu pytasz?

Otworzył drzwi, ukrywając ironiczny grymas.

Nagle zgłupieliśmy, co?

– Do widzenia, Bauchelain.

Wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Kapral i Obler czekali na zewnątrz. Obydwaj wybałuszyli oczy, wbijając wzrok w twarz sierżanta. Guld ruszył przed siebie i obaj mężczyźni podążyli za nim.

– Mówi, że zapłacił za cały tydzień – powiedział Oblerowi Guld.

Właściciel skinął głową.

– To prawda.

– Jeszcze cztery dni?

– Tak jest.

– Kapralu?

– Słucham?

– Zaczekaj przy wejściu, dopóki nie przyślę zmiennika. Obler, czy jest tu tylne wyjście?

– Tak, ale zamknięte na trzy zasuwki.

– I co z tego wynika?

Skryba postukał się z uśmiechem palcem pod lewym okiem.

– Wszystkie chodzą bardzo głośno. Kiedy ktoś je otwiera, zawsze się budzę, sierżancie.

– Czy ktoś ostatnio korzystał z tych drzwi?

– Nie. Już od tygodni, sierżancie. Od chwili ich przybycia ani razu.

– To znaczy, że ten Korbal Broach wyszedł frontowymi drzwiami?

Obler zatrzymał się na pomoście.

– A który to będzie, sierżancie?

– Eunuch. Ten, którego teraz nie ma.

– Nie ma go? Jesteś pewien, sierżancie? Od chwili ich przybycia widziałem na zewnątrz tylko jednego. Tego, z którym przed chwilą rozmawiałeś. Ten drugi musi siedzieć w pokoju, bo nigdy z niego nie wychodził.

Guld zasepił się jeszcze bardziej.

– Z pewnością się mylisz, Obler.

Skryba pokręcił głową.

– No dobra, a czy on coś je? – zapytał sierżant.

– Hmm, nie, sierżancie, nic nie je.

Twarz Gulda przybrała naprawdę wściekły wyraz.

Obler odwrócił nerwowo spojrzenie, oblizując wargi.

– Jeśli się nad tym zastanowić, to faktycznie dziwne, sierżancie. Chyba że dzielą się posiłkami. Może to jakiś post?

Guld ruszył na dół. Kapral deptał mu po piętach.

– Ten eunuch – rzucił przez ramię do Oblera, który schodził tuż za kapralem. – Jak on wyglądał?

– Był wielki, sierżancie. Ogromny. Chyba nic nie mówił. Tylko ciągle się

uśmiechał. Oślizły jak martwy wieloryb, sierżancie, tak właśnie wyglądał. Nie miałem pojęcia, że to eunuch, ale kiedy mi o tym powiedziałeś, to stało się oczywiste. Tak jest, eunuch.

* * *

– Napij się trochę wina – zaproponował Bauchelain, napełniając dwa puchary i podając jeden z nich Reese'owi, który przyjął go z wdzięcznością.

– Przepraszam, panie...

– Nie ma za co. Tak jak wskazał strażnik, to byłoby niefortunne i niepożądane, gdyby stała ci się jakaś krzywda. – Popatrzył uważnie na starszka. – Skąd ten upór? Sprawiasz wrażenie rozsądnego człowieka, panie Reese. Żeby sprzeciwić się sierżantowi straży i zaatakować go...

– Nie chciałem cię zawieść, panie. Hmm, lubię tę pracę.

– Bałeś się, że ją stracisz? Nie musisz się tego obawiać, panie Reese. Obaj uważamy, że jesteś idealnym lokajem.

Emancipor rozejrzał się wokół.

Obaj?

– A poza tym – ciągnął czarodziej, pociągając łyk wina – przewidziałem, że nasza znajomość potrwa długo, panie Reese.

– Słucham? Aha.

– Choć twój umysł nadal skrywa przede mną tajemnice.

– Naprawdę, panie?

– Mmhmm. Na przykład twoja żona, z którą żyjesz od trzydziestu lat.

– Subly? No więc, często na nią narzekam, panie, to prawda, ale trwała przy mnie przez cały ten czas i zdarzały się chwile, że była wszystkim, co miałem, panie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Bardzo ją kocham...

– Wiem o tym. Nie o to chodzi, panie Reese. Słyszę w twym umyśle jej głos, ale nie mogę zobaczyć jej obrazu. Nie widzę jej w twojej jaźni i to właśnie wydaje mi się bardzo osobliwe...

Spoglądali na siebie nawzajem nad brzegami złotych pucharów przez długą chwilę i żaden z nich nie mrugał. Wreszcie Bauchelain dopił wino, odchrząknął i odwrócił wzrok.

– Będę miał jutro dla ciebie pewne zadanie, panie Reese.

– Słucham, panie?

– I... – Bauchelain nalał sobie wina. – Znajdź dla nas miejsca na statku. Na zachód, tak daleko, jak tylko się uda.

Emancipor przymrużył powieki.

– Tak jest, panie. Czy mam zażądać od Oblera zwrotu pieniędzy?

– Nie, zostawmy to. Chcę za dwa dni odpłynąć z Laluni. Czy są na to szanse?

– Zaczyna się nowa pora roku, panie. Mogę ci to zagwarantować.

– Znakomicie. Aha, panie Reese, jeszcze jedno.

– Słucham, panie?

– Bądź dyskretny.

– Oczywiście, panie.

– Spotkałeś już kiedyś tego sierżanta, panie Reese?

Emancipor skinął głową.

– Dwa razy. Raz w zeszłym roku, gdy mój pracodawca padł ofiarą zamachu, a drugi raz po zamordowaniu kupca Baltra.

Bauchelain skinął głową z zamyśloną miną.

– To chyba bystry człowiek.

– Pod każdym względem, panie. Jest sławny. Król osobiście zleca sierżantowi Guldowi prowadzenie śledztw. To znaczy, niektórych. Najczęściej chodzi o morderstwa. Guld nigdy jeszcze nie zawiódł.

– Jak rozumiem, to on zajmuje się śledztwem w sprawie zabójcy grasującego nocami po waszym mieście.

– Tak, panie, on.

Bauchelain uśmiechnął się.

– W takim razie to pewnie zrozumiałe, że postanowił przesłuchać

cudzoziemców, takich jak my.

– Pewnie tak, panie – zgodził się Reese pozbawionym wyrazu głosem.

– Niemniej jednak – ciągnął Bauchelain, spoglądając na wino w swym pucharze – cenię prywatność i dlatego nie lubię, gdy oficjalne czynniki... zwracają na mnie uwagę. Dlatego postanowiłem opuścić miasto wcześniej niż planowałem, panie Reese. Nie chciałbym jednak zbytnio zaniepokoić sierżanta...

– Nie usłyszysz ani słówka, panie.

– Znakomicie. A teraz kładź się do łóżka. Chcę, żebyś jutro był przytomny i sprawny.

– Tak jest, panie. Dziękuję, panie.

Emancipor położył się w swym łóżku.

Zbytnio zaniepokoić Gulda. No jasne. Co? Ja nekromantą? Doprawdy, panie. Ha.

Czuł się zmęczony, ale nie liczył na to, że będzie spał dobrze.

Z całą pewnością nie dobrze.

* * *

Guld wszedł do karczmy „U Patrzałka”. Zatrzymał się w nieoświetlonym progu. Oczy już go piekły od gęstego drzewnego dymu, który wypełniał zatłoczoną główną salę o niskim suficie. Zalała go fala gwaru.

Żołnierz, któremu rozkazał śledzić cudzoziemca, wyłonił się z tłumu i podszedł do niego.

– Siedzi z tyłu, sierżancie. Przy szynkwasię będziemy mogli lepiej mu się przyjrzeć.

– Prowadź – mruknął Guld.

Gdy sierżant i jego człowiek przepychali się do długiego, zapadającego się w środku szynkwasię, który zajmował całą długość jednej ze ścian, głosy po obu ich stronach milkły trwożnie, a kiedy już przeszli, rozbrzmiewały

ponownie z wyraźną ulgą. To była jedna z najgorszych spelunek w całej Smętnej Laluni. Gdyby Guld zechciał – i miał ze sobą jeszcze trzydziestu strażników – mógłby aresztować wszystkich obecnych, tylko dla zasady.

Dotarli do szynkwasu. Młody żołnierz odwrócił się i wskazał na stoliki ustawione w głębi sali.

– Tam, sierżancie.

Za stolikiem siedział samotny mężczyzna, zwrócony plecami do tylnej ściany. Jego twarz niknęła w cieniu szarego kaptura, a płaszcz, który nosił, był szary i wytarty. Ze swojego miejsca Guld widział jego prawą nogę od kolana w dół. Była obuta w mokasyn, a do łydki nieznamy miał przytroczony wielki nóż myśliwski w pochwie. Szczupłe, długopalce dłonie, którymi oplótł kufel, były intensywnie opalone i pokryte bliznami. O ścianę za plecami obcego opierała się kusza z odwiązaną cięciwą.

Guld zmarszczył brwi i postąpił krok naprzód, ale strażnik wyciągnął rękę, powstrzymując go.

– Nie, to nie on. Tamten.

– Aha.

Właśnie się zastanawiałem nad tą dziwną zmianą ubioru...

Cudzoziemiec, którego zauważył na miejscu dwóch ostatnich morderstw, siedział przy stoliku sąsiadującym ze stolikiem zakapturzonego mężczyzny. Nadal okrywała go zbroja. Odwrócił się plecami do sali i jadł, robiąc przy tym sporo hałasu. Młaskanie, chrząkanie i prychnięcie było słychać nawet z odległości sześciu kroków, mimo że salę wypełniała niosąca się echem kakofonia produkowana przez pozostałych gości.

– Zaczekaj tutaj, żołnierzu – rozkazał Guld i ruszył w stronę nieznanego.

Tubylcowi, który siedział obok cudzoziemca, gęba się nie zamykała:

– ...no to tak żem se powiedział, tak żem powiedział, to nie mój dom! Kurde, chyba nie! No wiesz, dach zaczynał mi się na wysokości piersi, a nie jestem wysoki, nie? Byłeś tu, kiedy przyszły deszcze? Dwa tygodnie temu?

To był potop! No więc, co właściwie się stało? Ano, dom stał se na kurhanie. W Smętnej Laluni to nie dziwota, nie? Ale rynsztok się zatkał i woda znalazła sobie inną drogę do morza, prosto przez kurhan pod nami! Całe to cholerstwo się zawaliło i dom się osunął! A jakby tego było mało, moja żona leżała właśnie w łóżku, i to nie sama! O nie! Nie moja kochana, zdradziecka Mully! Były z nią cztery, daję słowo, cztery, cholerne duchy! Słabe oczywiście, bo z tych kurhanów innych się nie dostanie, ale wystarczająco silne, żeby łaskotać, trącać, szturchać i głaskać. O kurde, ale miały zabawę z jęczącą Mully! A ona skomlała i błagała o więcej. „Więcej!”, krzyczała. „Więcej!”.

– Dość tego – warknął Guld.

Tubylec spojrział na niego i skinął głową.

– Tak żem właśnie powiedział! Mówię jej...

– Zamknij się! – warknął sierżant. – I znajdź sobie inny stolik. Natychmiast.

Cudzoziemiec podniósł wzrok, słysząc słowa Gulda, po czym wrócił do jedzenia.

– Hmm – wyjąkał tubylec, odsuwając krzesło. – No dobra. Już się robi. Słyszę cię, sierżancie Guld. Och, tak, znam cię. Widziałem cię setki razy. Nie, nie robiłem nic nielegalnego, a przynajmniej nic, co mógłbyś mi udowodnić.

– Zmiataj stąd natychmiast – rozkazał Guld – albo dam sobie spokój z dowodami i zakuję cię w dyby na tydzień albo i na trzy.

– Już idę. Hej, popatrz, już mnie nie ma...

Guld odprowadzał wzrokiem mężczyznę, który zniknął w tłumie. Sierżant westchnął i osunął się powoli na zwolnione krzesło obok cudzoziemca.

– Chcę ci zadać kilka pytań – oznajmił cicho.

Cudzoziemiec beknął, chrząknął i znowu zaczął jeść.

– Skąd pochodzisz? I dlaczego tak cholernie cię interesują miejsca zbrodni?

Mężczyzna prychnął i potrząsnął głową, nadal nie patrząc Guldowi w oczy.

– Ja tylko zwiedzam miasto, sierżancie – odparł z twardym akcentem.

– W Laluni nie ma zbyt wiele do oglądania, ale znajdą się tu ciekawsze rzeczy niż zaułki z poćwiartowanymi trupami.

Nieznajomy przestał jeść.

– Czyżby?

– Chyba że zajmujesz się zabijaniem, oczywiście – podjął Guld.

Cudzoziemiec wziął ostatni kawałek chleba i zaczął wycierać nim resztki rosołu z miski.

– Jeśli nawet tym właśnie się zajmuję, sierżancie, to nie robię tego w ten sposób.

– Jeśli tym właśnie się zajmujesz, to po co właściwie tu przybyłeś? – skontrolował Guld.

– Jestem tu tylko przejazdem.

– To znaczy, że jutro odpływasz?

Cudzoziemiec wzruszył ramionami.

– Niewykluczone.

– A gdzie się zatrzymałeś?

Mężczyzna wreszcie uśmiechnął się szeroko do Gulda.

– Ten strażnik, któremu kazałeś mnie śledzić, powinien to wiedzieć.

Sierżant przymrużył powieki.

– On melduje się u mnie regularnie. Jeśli nie zgłosi się o wyznaczonym czasie, odszukam cię osobiście.

– Jak sobie życzysz.

Guld wstał.

– Zostawiłeś kawałek chleba – zauważył.

– Dla bogów.

– A co, jeśli nie są głodni?

– Bogowie zawsze są głodni, sierżancie.

* * *

– Wyglądasz okropnie, Mancy – oznajmił z uśmiechem Kreege, gdy tylko Emancipor usiadł ciężko przy stoliku. – Subly nie daje ci spać po nocach, staruszkę? – Kreege mrugnął znacząco do Dully’ego, który siedział naprzeciwko. – Jeśli mnie o to pytasz, to ona sprawia wrażenie kobiety o, hmm, znacznych potrzebach...

– Nie pytałem cię – warknął Emancipor, spoglądając w kufel ciemnego *ale*. – Po co miałbym to robić? W końcu sam wiem to najlepiej, nie?

– No jasne! – zgodził się głośno Dully.

– Hej – odezwał się Kreege, odsuwając się od niego – chyba nie złapałeś tego parcha od swoich bachorów, co?

– Nie złapałem.

– Cieszę się – odparł z westchnieniem Kreege. – Kiedyś go miałem. Coś okropnego. Bogowie brońcie, to co ma się za uszami...

– Wystarczy już o tym – warknął Dully.

Emancipor pociągnął długi łyk, po czym oparł się o blat.

– Muszę znaleźć statek. Taki, który odpływa dziś w nocy albo jutro rano.

Dully uniósł brwi. Potem spojrzał Kreege’owi w oczy i obaj mężczyźni przysunęli się bliżej.

– Hmm – mruknął Dully – to nie powinno być trudne.

– On ma rację. – Kreege pokiwał głową. – Łatwizna. Chociaż wszystko zależy od tego, czego szukasz. Jeśli zależy ci na dyskrecji, to lepiej unikaj *Stodoły*, bo kapitan Pummel to praworządny sztywniak.

– A jeśli zależy ci na szybkości i zdatności do żeglugi – wtrącił Dully – to *Korytko* jest nie dla ciebie, bo ono paskudnie nabiera wody, a kapitan Turb wisi forse połowie lichwiarzy w Laluni, w tym również Oblerowi, więc nie stać go na naprawy.

– *Giez* mógłby być niezły, ale słyszałem, że szczury przegnały całą załogę

z pokładu i nie wiadomo, czy i kiedy marynarze spróbują odzyskać statek szturmem. – Kreege zmarszczył brwi, a potem pokręcił głową. – Jeśli się nad tym zastanowić, to może wcale nie jest takie łatwe.

Dully uniósł serdelkowaty palec.

– Chwileczkę. Jest jeden dobry statek. *Słoneczny Lok*.

Kreege zakrztusił się łykiem piwa. Minęło kilka chwil, podczas których Emancipor i Dully przyglądali się, jak ich towarzysz kaszle, dławi się i dusi. Twarz zrobiła mu się zupełnie fioletowa, nim wreszcie zdołał zaczerpnąć tchu.

Emancipor spojrzał na Dully'ego.

– Mówisz *Słoneczny Lok*? Nie znam tego statku.

– Przyplłynął ze Stratemu – wyjaśnił Dully, wzruszając od niechcienia ramionami. – Wymagał lekkiego remontu. Pracowaliśmy z Kreege'em przy wyładunku, a potem wyciągnęliśmy od nich niezłą cenę za żelazne gwoździe.

Kreege wrócił już do siebie na tyle, że był w stanie mówić. Odchrząknął.

– Ehe, Dully ma niezły pomysł. Statek wygląda całkiem przyzwoicie. Widać, że to dalekomorski żaglowiec. Pani kapitan jest milczkiem. Kapturze, cała załoga to milczki. Bardzo dyskretni. *Słoneczny Lok*. Doskonale odpowiada twoim potrzebom, Mancy, bez względu na to, co to za potrzeby. Cumuje przy Kupieckim Nabrzeżu. Dopiero co zdjęli go z rolek i ładnie siedzi na wodzie.

Emancipor dopił *ale* i wstał. Był wykończony, jego myśli spowiała gęsta mgła.

– Dziękuję. Pójdę tam natychmiast. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Mancy. Nie ma o czym mówić. Hej, czy Subly poszczęściło się u alchemika?

To dziwne, nie przypominam sobie, żebym im o tym mówił. Musiałem jednak coś wspomnieć. Kreege ma bzika na punkcie naszego młodszego chłopaka. To pewnie naturalne. Pewnie po prostu pełno w nim miłości i czułości.

- Poszło całkiem nieźle – odparł Emancipor. Wstał od stolika i ruszył ku drzwiom. – Dziękuję, że o to zapytałeś.
- Nie ma sprawy, Mancy. Słyszę to z radością.
- Ja też – dodał Dully. – Do zobaczenia, Mancy.

* * *

Sierżant Guld szedł ulicą Lalek. Siedemdziesiąt siedem kroków morderczo krętym, cienistym zaułkiem. Po obu stronach ocierał się ramionami o setki stukających niespokojnie lalek z drewna, kości, szmat oraz piór. Wszystkie zwisały za szyje z markiz sklepów na kosmatych sznurkach splecionych z wodorostów. Oczy – z muszelek, guzików albo namalowane – zdawały się śledzić sierżanta, jakby wszystkie te makabryczne kukiełki i marionetki były opętane przez demony. Guld wiedział, że przynajmniej w przypadku niektórych jest tak rzeczywiście. Ulica Lalek nie należała do jego ulubionych miejsc w Smętnej Laluni. Jeśli śledziły go również ludzkie oczy, były dobrze ukryte w chłodnym mroku wnętrza sklepów.

Zrządzeniem losu maleńki sklepik Mercy Blackpug znajdował się na samym końcu ślepej uliczki. Wspierał się o ścianę magazynu i wychodził na wyboisty, brukowany zaułek. Ze sterczącego okapu zwisał szereg skórzanych, szczeciniastych lalek o pokraccznych, zwierzęcych obliczach, które uśmiechały się spod pukli natłuszczonych włosów z błyskiem w onyksowych oczach. Guld podszedł bliżej, skupiając spojrzenie na lalkach. Skóra, z której je zrobiono, wyglądała na świńską. Była kiepsko wygarbowana i marszczyła się wokół szwów.

Kaptur wie, kto je kupuje.

Spod okapu dobiegł niski, melodyjny zaśpiew:

– Chcesz kupić lalkę dla swoich pociech? Każde dziecko powinno znać strach, a czyż moje maleństwa nie są straszliwe?

Guld przepchnął się do środka, odsuwając na boki szereg miniaturowych

szubienic.

– Gdzie staruszka? – zapytał.

Piękna, śniada twarz spowita w chustę przechyliła się. Zdumiewająco niebieskie oczy przyjrzały się mu z ciekawością.

– Staruszka, żołnierzu?

– Ta, która jest podobno właścicielką tego sklepu – odparł Guld. – Ta, która sprzedaje te lalki i inne, równie paskudne... rzeczy. Ta, którą widziałem za każdym razem na miejscu morderstwa w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Mercy Blackpug.

Kobieta roześmiała się cicho.

– Ja jestem Mercy Blackpug. Na pewno chodzi ci o moją siostrę Mince. Ona nosi moje wyroby na targ.

– Twoja siostra? Ta stara wiedźma? Masz mnie za durnia?

Kobieta zaczęła nabijać fajkę wodną. Jej długopalce dłonie poruszające się w ciemności przywodziły Guldowi na myśl węże morskie.

– To przez odmienny styl życia – wyszeptała. – Niestety. Mince nie jada mięsa ani ryb. Tylko jarzyny. I zioła. Nie pije alkoholu. Nie pali durhangu ani mojego ulubionego rdzawego liścia. Żyje w celibacie, wstaje wcześnie i kładzie się spać o zachodzie słońca. Codziennie truchta ścieżką po urwisku aż do Przylądka Wielka Szkoda i z powrotem, bez względu na pogodę. Jest tylko rok starsza ode mnie. Ma trzydzieści sześć lat.

Ruderę wypełnił skłębiony, wirujący dym.

– Ja, z drugiej strony – ciągnęła Mercy – ulegam wszelkim nałogom, ku jej wielkiego niesmakowi. Tak czy inaczej, mój drogi, jak rozumiem, nie przyszedłeś tu po to, by obejrzeć mój towar.

Będę się musiał nad tym zastanowić. Do cholery, nie pozwól, żeby odwróciła twoją uwagę!

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego Mince interesuje się tymi morderstwami. Gdzie ona jest?

– Zapewne w porcie. Dręczy marynarzy kazaniami.

– A o czym mówi?

– Marynarze są zniewagą dla dobrostanu. Mince chciałyby ich nawrócić...

– Chwileczkę, to chyba nie ona pisze co tydzień petycje do króla?

– Nie kto inny. Moja siostra pragnęłaby uczynić ze Smętnej Laluni bastion czystości i prawości. Wszelkie wykroczenia powinny być karane śmiercią, rzecz jasna. Ten rdzawy liść wzbogacono esencją miętową. Nie chcesz spróbować?

– Nie. Nie w tej chwili. Może później. Tak jest, później... –
Powiedziałem: nie!

Szeroko otworzyła niebieskie oczy.

– Czyżbym była natarczywa?

– Przepraszam. Nie, nie byłaś.

– Moja siostra zapewne odwiedza miejsca zbrodni w poszukiwaniu kandydatów do nawrócenia. Jak pewnie się domyślasz, karmi się strachem.

– To czemu toleruje ciebie? A nawet sprzedaje na targu twoje lalki?

Mercy parsknęła śmiechem.

– Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że na królewskich szpikulcach rzadko brakuje... ozdób. Przestępcy lęgną się w Smętnej Laluni szybciej niż szczury, szybciej nawet niż król jest w stanie ich wieszać.

Guld zerknął na lalkę zwisającą obok niego.

A więc to nie świńska skóra.

Mercy zaciągnęła się fajką.

– To skóra skazańców – kontynuowała. – Moją siostrę zachwyca ukryta w tym ironia.

Sierzanta dopadły nagłe mdłości. Wbił w kobietę przerażone spojrzenie.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając białe zęby. Guld miał wrażenie, że przeszyły go ze skwierczeniem.

– Moimi klientami są głównie ich krewni. Chcą mieć pamiątki po zmarłych. Któż zgłębi tajniki ludzkiego umysłu?

– Muszę już wracać – zdołał wykrztusić Guld, wychodząc na zewnątrz.

– No właśnie, któż? – dodała ze śmiechem. – Do zobaczenia, sierżancie.

* * *

Oddalił się chwiejnym krokiem, próbując uporządkować myśli. Nagle z cienia po prawej stronie dobiegł go starczy głos:

– Strzeż się mojej siostry, młodzieńcze!

Guld odwrócił się błyskawicznie.

Pomarszczona twarz Mince uśmiechała się do niego bez wesołości spomiędzy dwóch lalek. Kobiecie zostało niewiele zębów, wytartych tak bardzo, że przerodziły się w krótkie pieńki.

– Ona przywiedzie cię do zguby! – wychrypiąła starucha. – Jest otchłanią! Wirem rozwiążności! Kusicielką. Zna najtajemniejsze jaskinie rozpasania w Laluni. Nie uwierzyłbyś, jak szeroko zakrojone są jej interesy!

Guld przymrużył powieki.

– Mówisz: jaskinie? Powiedz mi, Mince, czy będzie też wiedziała, kto odwiedza podobne przybytki?

– Moja zła siostra wie wszystko! Poza tym jak zadbać o siebie! Podąża za nią choroba, jeszcze niewidzialna, ale nieuchronna jak sam Kaptur! Wkrótce się o tym przekonasz! Wkrótce, jeśli się nie poprawi!

Sierżant spojrział na koniec zaułka.

Nie ma powodu zwlekać, nieprawdaż? Najmniejszego. Muszę wypytać Mercy. Szczegółowo. To może potrwać parę godzin, ale nic się na to nie poradzi.

– Nie ulegaj jej! – wysyczała Mince.

Guld ruszył z powrotem ku końcowi ulicy Lalek, ignorując staruchę.

* * *

Kurhan Pagórkowy był zdecydowanie największym kurhanem w Smętnej

Laluni, a do tego jedynym, który porastała trawa. Przekopano go niezliczoną ilość razy i miał tę szczególną cechę, że nie kryło się w nim absolutnie nic. Tłumy rabusiów i kolekcjonerów starożytnych przedmiotów wykopały tylko głazy, żwir oraz ceramiczne skorupy.

Guld spotkał dwóch czołowych szczurołapów miasta na szczycie kurhanu, gdzie urządzili sobie piknik. Rozpalili niewielkie ognisko, nad którym piekli obdarte ze skóry gryzonie. Z boku leżała zakurzona butelka dobrego wina oraz gliniany słoik z zalakowaną pokrywką.

Birklas Punth i Blather Roe nie byli typowymi przedstawicielami zawodowych szczurołapów Laluni. Mimo to sierżant niekiedy robił użytek z ich rozległej wiedzy na temat wszelkich wyobraźalnych aspektów przestępczego świata miasta. Okazali się dla niego na tyle użyteczni, że był skłonny tolerować ich osobliwe cechy.

– Cóż za poważna kwestia! – zauważył Birklas, trzepocząc otłuszczonymi palcami, gdy Guld wszedł na szczyt. – Zastanawiam się, dlaczego nisko urodzeni tak często uginają się, nie, wręcz padają na kolana, pod brzemieniem swego nieszczęsnego losu. Czyżby jedynym zadaniem tych mieszkańców pięknej Laluni, w których żyłach płynie czysta krew, było całe dnie, a nawet noce, oddawać się nieskrywanemu niechlujstwu?

– A co jest takiego czystego w twojej krwi, Punth? – warknął Guld, podchodząc do obu mężczyzn.

– Niepowtarzalny cel oczyszcza bardziej niż cokolwiek innego, biedny sierżancie. Ujrzyj przed sobą moją miłą osobę i, u mojego boku, jego miłą osobę. Obaj jesteśmy wyjątkowo niepowtarzalni.

Mężczyźni mieli na sobie niewiele więcej niż łachmany, pomijając wielkie, skórzane kapelusze o oklapłych rondach – Birklas pomalowany na wyblakły w słońcu kolor fuksji, a Blather – barwy cętkowanej żółci. Ze sznurków, którymi przewiązali się w pasie, zwisały niezliczone szcurze ogony. Takie same, splecione w wymyślne warkocze trofea otaczały ich nadgarstki i kostki.

Blather Roe sięgnął po słoik i otworzył pokrywkę, podważając ją splamionym krwią sztyletem.

– Psysedłeś akurat na czas, sierzancie. Scury już się prawie upiekły, a marynowane różowiacki będą znakomitą psystawką. Pocęstuj się, proszę.

– Ja naleję trunku, a mój towarzysz wyłowi ze słoja te różowiaczki – dodał Birklas.

Ocet nadał bezwłosym, nowo narodzonym szczurom kolor jeszcze bardziej różowy niż zwykle, co z jakiegoś dziwnego powodu zwiększyło grozę, z jaką Guld obserwował, jak Blather wyławia jednego z nich i unosi go do ust. Gdy różowiaczek zniknął między jego wargami, rozległo się głośne mlaśnięcie. Mężczyzna połknął go, a potem westchnął.

– Niezły początek – zauważył Birklas. – Wessał go jak ostrygę. To dowód na to, że pochodzi z kulturalnego domu.

Guld skrzywił się.

– Z kulturalnego domu? Ale kto, Blather czy szczur?

– Och, to bardzo zabawne, sierzancie! – Blather Roe zachichotał. – Proszę, cęstuj się!

– Dziękuję, już jadłem.

Birklas zwrócił się w stronę towarzysza.

– Czy nie widzisz, przyjacielu, że sierżant Guld jest w złym humorze? Co noc straszliwe morderstwo! Bicie w dzwony! Szczury biegają jak opętane i nawet sam Biała Grzywa ukrył się w najgłębszej norze. Zaiste, w pięknej Laluni grasuje coś ohydneho, a oto jest główny myśliwy, który przyszedł prosić nas o pomoc.

Blather odsunął się od Gulda.

– Ocywiście wiedziałem o poważnych kłopotach sierżanta! Chciałem tylko być upsejmy!

– Dość już dyskusji na temat dobrych manier – warknął Guld. – Już ze sto razy słyszałem, jak mówicie o Białej Grzywie. Chcę się wreszcie dowiedzieć, czy on naprawdę istnieje?

– Ocywiście!

– Z całą pewnością, sierżancie.

Guld wbił spojrzenie w Birklasa.

– I jest jednopochwyconym?

– Ehe. To niepozorny człowiek, kiedy jest człowiekiem. Ale gdy już przybierze postać szczura, staje się najbardziej przerażającym z gryzoni. To sprytny i bezwzględny tyran, Władca Królestwa Futrzaków, Zabójca Wszystkich Rywali, Chędożnik Najwyższej...

– Tak, tak, i tak dalej. I mówicie, że ukrywa się przed naszym mordercą?

– Skrył się w najgłębszej dziurze, sierżancie. Dygocze...

– Rozumiem. Czy więc powinienem założyć, że Biała Grzywa spotkał tego zabójcę?

Birklas wzruszył ramionami.

– Niewykluczone. Ale raczej widzieli go jego gońcy, jego wartownicy strzegący skrzyżowań albo obserwatorzy wystawieni na dachach...

– Ale nie jego kostujący potrawy – wtrącił Blather.

– To prawda – zgodził się z powagą Birklas. – Nie jego kosztujący potrawy. Co tam u nich słychać?

Blather trącił patykiem nadziane na rożen szczury.

– Chyba już się upiekli.

– To świetnie! Sierżancie, czy możemy ci pomóc w czymś jeszcze?

– Niewykluczone. Księżniczka i panicz Hoom.

Birklas uniósł brwi.

– Ojej, to nie temat na rozmowę przy kolacji...

Guld przykucnął obok nich.

– Mogę poczekać.

* * *

Wieża Martwego Sekaranda skrzypiała na wiejącym od morza wietrze,

który od chwili zachodu słońca dął coraz mocniej. Guld otulił się mocno płaszczem. Marzył raczej ze zmęczenia niż za sprawą wiatru. Na dole bryza rozwiała już pozostałą po dniu mgiełkę dymu. Światełka lamp oliwnych i świec pstrzyły ściany budynków niczym mętne gwiazdy, jakby były wszystkim, na co stać śmiertelników próbujących odzwierciedlić splendor rozgwieżdżonego nieba.

Guld usłyszał szuranie na schodach, a potem stęknienie Stula Ophana. Mag wgramolił się na dach.

– Na niepewny sen Pożogi, Guld – wydyszał staruszek. – Lepiej bym się czuł, gdybyśmy spotkali się po prostu na rogu ulicy.

Sierżant wsparł się o blanki, spoglądając z góry na dzielnicę portową.

– Możliwe, że go mam, Stul – oznajmił.

Stojący za plecami Gulda mag przestał przeklinać.

– Jesteś pewien? – zapytał. – Kiedy będziesz mógł go aresztować?

– Tego jeszcze nie rozpracowałem. Czy jestem pewien? No cóż, nadal coś mnie ciśnie w brzuchu. Umknął mi jakiś szczegół, ale niewykluczone, że wskaże on na tego samego człowieka, jak już się zorientuję, o co chodzi.

– A czego pragniesz ode mnie?

Guld odwrócił się. Stul Ophan stał obok zapadni. W jednej ręce trzymał jedwabną chustę, którą co chwila ocierał czoło. Mag wzruszył ramionami.

– Nie bardzo lubię wysokość, sierżancie. Wybacz mi, jeśli zostanę tutaj, choć to w niczym mi nie pomaga, bo cała budowla chwieje się na wietrze.

Guld otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz powstrzymał się z gniewnym grymasem na twarzy.

– Przecież mieszkasz w cholernej wieży! – zaprotestował zamiast tego.

Ophan znowu wzruszył ramionami.

– Tego się ode mnie oczekuje. Nieprawdaż? Ale korzystam głównie z parteru.

Sierżant przyglądał się mu jeszcze przez chwilę. Wreszcie westchnął.

– Myślałem o psach. Tych, które wysłałem tropem po zamordowaniu

panicza Hooma. Mężczyzna, może dwóch mężczyzn. Jeden z nich był wojownikiem, weteranem, drugi pozostaje nieznany. Była też woń kobiety, a może dwóch albo żadnej...

– Jeśli psy tańczyły na tropie kobiety, Guld, to jak mogło jej tam nie być?

– Celne pytanie. Czy potrafisz na nie odpowiedzieć? Zanim spróbujesz, powiem ci, że z miejsca zbrodni faktycznie uciekła jedna kobieta, ale to nie ona zabiła.

Stul Ophan zmarszczył brwi, pocierając czoło.

– Nie rozumiem.

Guld wykrzywił twarz.

– Przypomnij sobie, co sam odkryłeś, magu. Wspomnij wszystkie swe wątpliwości. Odpowiedz mi na to: mężczyzna, który nie jest mężczyzną i można go wziąć za kobietę, jeśli śledztwo prowadzi się przy użyciu czarodziejskich ścieżek, a nawet gdy pies zwęszy trop. Przyjmij założenie, że nikt nie próbował pokrzyżować twoich prób ustalenia płci zabójcy. Że odpowiedź, którą uzyskałeś, była trafna, podobnie jak w przypadku psów. Jak to możliwe?

– Mężczyzna, który nie jest mężczyzną? Nawet psy mogą go wziąć za kobietę? Sierzancie, z tak dziwnych danych nie można wysnuć żadnej odpowiedzi. Celowo wprowadzono nas w błąd...

– Nie. Mordercy było po prostu wszystko jedno. Wiedział z doświadczenia, że podobne próby zawsze skończą na manowcach. To jak zagadka demona, Stulu Ophan. Odpowiedź jest za prosta. Nie zastanawiaj się zbyt intensywnie.

Mag skrzywił się ze złością.

– Drwisz ze mnie, Guld.

Sierzant odwrócił się do niego plecami i spojrział na miasto.

– Jaki ślad zostawiłby eunuch, Stulu Ophan?

Usłyszał, jak mag powoli wypuszcza powietrze między zębami.

– Masz rację, sierzancie. To rzeczywiście zagadka demona. Znalazłeś

zabójcę.

– Wiem, kto nim jest – poprawił go Guld. – Jeszcze go nie znalazłem. – Przymrużył powieki, patrząc z góry na Szlachecką Dzielnicę. – Sądzę jednak, że ktoś inny już go znalazł. Węzeł zaczyna się rozsypywać.

– Co masz na myśli?

– To, że właśnie ruszyła w drogę – odpowiedział Guld, przyglądając się, jak na kolejnych dachach zapalają się lampy znakujące drogę, którą zmierzała ostatnia nierozwiązana zagadka w tej sprawie. Sierżant odwrócił się i pobiegł ku schodom.

– Wracaj do domu, magu – rzucił jeszcze. – Nocna rozgrywka zaczęła się na dobre.

* * *

Zebrał szczegółowe informacje natychmiast po audiencji u króla. Zadał wystarczająco wiele pytań, a gdy było to potrzebne, stosując odpowiedni nacisk, i poznał wiele szczegółów, które pozwoliły mu złożyć wszystko w całość. W skład nieprzyjemnych żądz panicza Hooma wchodziło również upodobanie do krwi i zadawania bólu. To właśnie przyciągnęło do siebie jego i księżniczkę Sharn i z tego powodu zarówno ojciec Hooma, jak i Seljure uważali ich związek za niepożądany. A nawet cholernie przerażający.

Poprzedniej nocy u boku księżniczki nie było dworki, gdyż Sharn już ją odesłała, nakazując jej śledzić zabójcę. Hoomy okazał się jedynie akolitą wypaczonych ścieżek cielesnego bólu. Morderca pokazał księżniczce, jak daleko – jak cudownie daleko – można się posunąć. Drżące usta Sharn poczuły muśnięcie obietnicy i teraz dziewczyna pragnęła czegoś więcej.

Dworka dobrze się sprawiła. Człowiek Gulda zameldował mu, że wróciła o świcie, a teraz obie z księżniczką ruszyły w drogę. Zaprowadzą sierżanta i jego ludzi do zdobyczy.

Wyszedł z wieży przez szeroko otwarte wrota i oddalił się w pośpiechu.

Sharn popełniała straszliwy błąd. Ostatnie, czego pragnąłby Guld, to przybyć za późno, choć z pewnością stałoby się to nauzką dla króla. „Oto do czego prowadzi przeszkadzanie mi w śledztwie, panie. Trzeba było pozwolić mi ją przesłuchać”. Tego rodzaju satysfakcja nie była jednak warta życia młodej kobiety – a właściwie dwóch młodych kobiet, jako że dworka zapewne podzieliłaby los Sharn.

Podążał trasą, którą wyznaczały zapalane przez jego ludzi lampy, i gdy dotarł do wylotu zaułka wychodzącego na Rondo Rybne, według jego oceny zostało mu jeszcze kilka minut. Wznosił się tam poobtłukiwany, częściowo zawalony kurhan. Guld przykucnął na pokruszonym łupku, żeby trochę odetchnąć.

Na rondzie nie było nikogo, a na czarnym słupie nie wisiało nic poza powiewającym na wietrze ogłoszeniem, którego Bauchelain jeszcze nie zdjął. Na szczycie słupa spała wrona, kołysana porywistym, słonym wiatrem. W pewnej chwili przez brukowane rondo przebiegł pies i napił się wody z Fontanny Beru. Guld skrył się w cieniu i powoli wysunął miecz z pochwy. Miał gorącą nadzieję, że jego ludziom udało się nie zgubić tropu, który powinni byli znaleźć pod pałacem.

Pozostał jeszcze tylko jeden węzeł niepewności. Eunuch zdołał opuścić gospodę niepostrzeżenie. Rzecz jasna, istniały czary pozwalające dokonać takiej sztuki. Gulda głęboko niepokoiła ta możliwość.

Zesztywniał, gdy zobaczył opatuloną płaszczem kobietę na ulicy na prawo od siebie.

Dworka. Cholera, odważna z niej dziewczyna.

Podeszła ostrożnie do drewnianego słupa na środku ronda.

Ma tu na niego czekać? To bez sensu. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę rozmawiała z eunuchem. Wystarczyłoby odnaleźć jego kryjówkę. Nie, to zupełnie nie ma sensu.

Miał ochotę krzyknąć albo podbiec do niej, lecz pozostał ukryty za niewysokim wzgórkem, bo nagle pojawiła się druga spowita w płaszcz

postać: księżniczka. Podążała za dworką ospałym, pełnym przerażającej pewności siebie krokiem.

Dworka zatrzymała się przed słupem. Wydawało się, że spogląda na jego szczyt, jakby miała zamiar paść przed nim na twarz. Sharn była już dziesięć kroków za nią i zbliżała się z każdą chwilą.

Siedząca na słupie wrona poruszyła się niespodziewanie.

Guld wybałuszył oczy, gdy nagle doznał olśnienia. Otworzył usta, by ostrzec dziewczynę krzykiem, ale nagle coś ciężkiego i twardego uderzyło go w tył głowy. Osunął się z jękiem na ziemię, walcząc z falami ciemności. Usłyszał niski szept, który rozbrzmiewał blisko, u jego boku, lecz wydawał się bardzo odległy.

– Wybacz, sierżancie. To jest tylko jeden, a ja chcę dorwać obu. Musimy poczekać. Potrzebna nam krew, bo tylko ona uczyni Korbala Broacha podatnym na atak. Wtedy będzie musiał wezwać pomoc i moje długie łowy dobiegną końca...

Guld nie był w stanie stawiać oporu, gdy stojący obok mężczyzna – masywna, mroczna, zakuta w zbroję sylwetka – wyszarpnął miecz z jego odrętwiałych palców.

To ten cudzoziemiec z bułatem.

Na lewym przedramieniu mężczyzny wspierała się ciężka, żelazna kusza, załadowana pokrytym gęsto runami bełtem i gotowa do strzału.

– Nie martw się – wyszeptał nieznajomy ze swym przerażającym, barbarzyńskim akcentem – zostawię ci szczątki. To wystarczy, żeby zadowolić tłum. A teraz pozwól mi działać. Ciesz się z tego, bo nie wiesz, z czym masz do czynienia.

Guld zdołał unieść głowę. Świat wirował mu przed oczyma i sierżant z trudem dostrzegł, co się dzieje pod słupem. Wrona rozpostarła skrzydła i opadła powoli ku dworcy. Jej sylwetka zamazała się, przebiegła po niej zimna fala i ptak zamienił się w potężnego, łysego człowieka zakutego w kolczugę, który spojrzał z góry na dziewczynę. Dworka coś powiedziała, a on

zachichotał w odpowiedzi. Uniósł dłoń i skinął nią delikatnie. Pod dziewczyną ugięły się kolana, z jej ust wyrwało się bulgotanie. Bezwładna postać osunęła się na bruk, a z ust trysnęła krew.

Księżniczka Sharn jęknęła, jakby w ekstazie.

Eunuch podszedł do niej powoli.

Stojący obok Gulda łowca uniósł broń i wycelował starannie.

– Strzelaj – zdołał wysyczeć Guld. – Strzelaj, do cholery!

Usłyszał dobiegające od strony łowcy skrzypiące dźwięki. Odwrócił się i zobaczył, że twarz mężczyzny pociemniała, jakby z wielkiego wysiłku.

– Co się z tobą dzieje, do Kaptura?!

Sierżant spróbował usiąść, lecz przesywający mu czaszkę ból okazał się zbyt dotkliwy. Mógł tylko spoglądać z rodzącym się zrozumieniem na łowcę, który wyęczał wszystkie siły, ale nie był w stanie poruszyć żadnym mięśniem.

– Stocku Marynd, ależ z ciebie uparciuch, co? – dobiegł ich gdzieś z tyłu chłodny, spokojny głos. – Możesz się szarpać, ile chcesz, ale zapewniam cię, że, choć go nie widzisz, demon, który cię trzyma, potrzebuje do tego jedynie drobnej cząsteczki swych sił. Bogowie – ciągnął Bauchelain, okrążając obu mężczyzn – zmarnowałeś życie na ten maniackalny pościg. Ile to już lat minęło, odkąd nasze drogi tak niefortunnie się skrzyżowały? Sugeruję, byś dał za wygraną, ciesząc się, że znowu darowałem ci życie. Dodam też, że robię to po raz ostatni. To nie litość powstrzymuje moją dłoń, panie Marynd. Niestety, to obojętność. W końcu jesteś dla nas jedynie drobnym utrapieniem. No cóż – przerwał, po czym podniósł głos, by usłyszał go monstrualny eunuch, który właśnie zaczął kreślić przed księżniczką czarodziejski gest śmierci: – Korbalu Broach! Zostaw tę pannę, stary przyjacielu. Z pewnością tamta biedna dziewczyna na dziś wystarczy?

Korbal Broach zawahał się, po czym spojrział na swego towarzysza.

– Jest dwukrotnie dotknięta, Bauchelain – oznajmił piskliwym, nieludzkim głosem. – Należała do poprzedniej nocy, ale pozbawiono mnie

jej, mnie, unżonego sługę życia.

– To było pociągnięcie Pani – odparł swobodnym tonem Bauchelain, podchodząc do eunucha. – Przyznaj, że tak było.

Korbal Broach wydał wargi.

– Znowu chcesz mnie pozbawić szansy spłodzenia, Bauchelain?

– Myślę, że zebrałeś już wystarczająco wiele. A poza tym, wyczuwając, że bieg wydarzeń nagle nabrał tempa, wysłałem naszego sługę do portu. Rzecz jasna, najpierw zesłałem długi sen na pełniącego straż pod gospodą kaprała. Tak czy inaczej, właśnie wydaje się w naszym imieniu znaczne sumy i zbliża się chwila, gdy opuścimy to miasto.

– Ależ Bauchelain – sprzeciwił się cicho Korbal Broach – wszyscy, którzy wpadli na mój trop, są tutaj. Moglibyśmy ich uciszyć i miasto należałoby do nas jeszcze przez wiele tygodni. Powstrzymaliśmy nawet drużynę sierżanta. Któż inny mógłby nam przeszkodzić? Zabijmy sierżanta, Stocka Marynda i księżniczkę, a znowu będziemy bezpieczni.

– W mieście ogarniętym chaosem i przemocą. – Bauchelain pokręcił głową. – Stockowi nie jest pisane zginąć tej nocy z naszej ręki, Korbal. Niestety, będzie żył jeszcze wiele lat. A jeśli chodzi o sierżanta, to przyznaję, że czuję do niego pewien respekt. Gdyby księżniczka zginęła dzisiejszej nocy, stałby się dla nas poważnym zagrożeniem...

– To go zabij. Ten problem łatwo rozwiązać.

– Nieprawda – odparł gładko Bauchelain. – Przed niespełną godziną Śmiertelny Miecz Tulgord Vise złożył krwawe śluby, poświęcone przez wielką kapłankę Sióstr. Wygląda na to, że do ścigającego nas orszaku dołączył nowy członek. Ten głupiec spełnia rozkaz bogiń i, podobnie jak Stock Marynd, nie zrezygnuje z pościgu. Nie powiększajmy tej naszej świty jeszcze o sierżanta Gulda. Śmiertelny Miecz, poświęcony krwią Sióstr, przełamał moje osłony i właśnie się zbliża.

– Zabij go.

Bauchelain pokręcił głową.

– Lepiej zaczekać rok albo dwa, aż moc rytuału nieco osłabnie. Nie chcę sobie poplamić ubrania... – Odwrócił się, słysząc tętent kopyt, zbliżający się boczną ulicą. – Ojej, wygląda na to, że jednak zwlekaliśmy zbyt długo.

Tulgord Vise przedarł się przez osłony. Zza garbu niewielkiego kurhanu wznoszącego się w miejscu, gdzie ulica wychodziła na rondo, dobiegał zbliżający się szybko łoskot szarży jego rumaka. Bauchelain westchnął.

– Dar mocy, udzielony nagle Śmiertelnemu Mieczowi, jest... imponujący. – Uniósł rękę. – Niestety, zapomniał pobłogosławić konia. – Wykonał gest. Z drugiej strony kurhanu dobiegł zwierzęcy kwik, po którym nastąpił ogłuszający trzask i głuchy łoskot. Wydawało się, że oświetlony słabym blaskiem pochodni kamienny wzgórek wybrzuszył się na moment, po czym osunął z powrotem, spowity mgiełką pyłu. – Upłynie – odezwał się znowu Bauchelain – trochę czasu, nim Śmiertelny Miecz odzyska przytomność w stopniu wystarczającym, by wyciągnąć głowę i ramiona z kurhanu. – Odwrócił się ku Korbalowi Broachowi. – Mój przyjacielu, nie jesteśmy już tu mile widziani. Nasz lokaj właśnie uiszcza zapłatę, a nasz bagaż przewożą na statek. Pora ruszać w dalszą drogę, Korbal.

W tej właśnie chwili z kurhanu wyskoczyło coś białego. Stworzenie było wielkości tłustego kota.

– Och, to mi się podoba – wyszeptał Bauchelain na jego widok. Znowu skinął dłonią.

Na drodze białego szczura wyrósł potężny, eteryczny demon. Zwierzę – Guld uświadomił sobie, że to z pewnością Biała Grzywa – zdążyło jeszcze pisnąć rozpaczliwie, zanim zniknęło w zębatej paszczy.

– Wypluj go natychmiast! – ryknął Bauchelain, podchodząc do demona.

Ogromna bestia wzdrygnęła się, garbiąc się trwoźnie.

– Wypluj!

Demon wypluł zmasakrowaną, okrwawioną grudkę futra, która odbiła się od bruku i znieruchomiła.

– Korbal, zbadaj niefortunnego jednopochwyconego, jeśli łaska.

Eunuch skierował nos w stronę szczura i powęszył.

– Będzie żył – stwierdził, wruszając ramionami.

– Znakomicie. – Bauchelain ponownie spojrział na demona. – Masz szczęście, Kenyll’rahu. A teraz zabieraj to biedactwo i wracaj do kufra...

– Nie tak szybko! – dobiegł z boku czyjś głos.

Guld zdołał odwrócić głowę i zobaczył Blathera Roe oraz Birklasa Puntha. Stali po przeciwnej stronie fontanny. Kapelusze naciągnęli nisko na czoła, a na ramionach wspierali długie szpikulce do polowania na szczury.

– A kim wy jesteście? – zapytał Bauchelain.

– Zabij ich – jęczał Korbal Broach. – Nie podobają mi się. Coś w nich mnie niepokoi.

– Spokojnie, przyjacielu – ostrzegł go Bauchelain. – Choć podzielam twoje obawy, jestem pewien, że możemy to załatwić polubownie.

Guld wbił wzrok w dwóch mężczyzn w starych kapeluszach na głowach.

To tylko szczurołapy. Czemu się ich boją?

Birklas popatrzył z niesmakiem na Kenyll’raha.

– A kysz, straszliwa zjawo!

Demon skurczył się, zamigotał i zniknął. Leżący na bruku Biała Grzywa uniósł raptownie głowę, rozejrzał się wokół i czmychnął w cienie.

– To było bardzo nieuprzejme z twojej strony – poskarżył się Bauchelain. – Nie lubię, jak ktokolwiek oprócz mnie odsyła moje służki.

Birklas wzruszył ramionami.

– Lalunia może się wydawać skromnym miastem, czarodzieju, ale pozory mylą. Ma ona własnych graczy i własne gry, a my chcemy, żeby wszystko zostało tu po staremu. Ty i twój nekromantyczny przyjaciel... zaniepokoiłście pewne siły.

– A te siły nie lubią, żeby je niepokoić – dodał Blather.

– Oni cuchną kurhanem – zauważył Korbal Broach.

Bauchelain powoli skinął głową.

– W rzeczy samej. Ale tutejsze kurhany są takie... nieznaczące. Nie

potrafię uwierzyć...

– Osłony nie są wieczne – wyszeptał Birklas. – Choć przyznaję, że potrzebowaliśmy dłuższego czasu, żeby się wydostać z Kurhanu Pagórkowego. I przekonaliśmy się wtedy, że niemal wszystkie dysponujące poważniejszą mocą duchy i inne istoty, które ongiś pochowano razem z nami w mniejszych kurhanach, zdążyły się uwolnić przed nami. Rozumiesz, one skorzystały ze szczurów. Ale Blather i ja tego nie zrobiliśmy. Tak czy inaczej, wystarczy już o tym. Uważajcie się za wygnanych ze Smętnej Laluni.

Bauchelain wzruszył ramionami.

– Zgoda. I tak mieliśmy dziś odpłynąć.

– Bardzo dobrze – ucieszył się Blather.

Guld, który wracał powoli do siebie, oparł się o ścianę i zdołał wstać.

– Niech cię szlag, Bauchelain.

Czarodziej odwrócił się z zaskoczoną miną.

– O co chodzi, sierżancie?

– Moi ludzie. Za to ja również złożę krwawe śluby...

– Nonsens. Nie zabiłem ich. Wędrują tylko wkoło zdezorientowani. To wszystko. Przysięgam.

– Jeśli kłamiesz, magu, to lepiej zabij mnie teraz, bo...

– Nie kłamię, sierżancie. A dowodem na to jest fakt, że daruję ci życie.

– On mówi prawdę – zapewnił Gulda Birklas. – Jak już wspomniałem, nasza tolerancja ma swoje granice.

Bauchelain położył dłoń na ramieniu Korbala Broacha.

– Ruszajmy, przyjacielu. Naszego dzielnego lokaja spotkamy w porcie.

Na wpeł oślepiiony falami bólu Guld śledził wzrokiem dwóch oddalających się mężczyzn.

Księżniczka Sharn ocknęła się raptownie. Ona również odprowadzała ich spojrzeniem, z twarzą bladą jak księżyc.

– On chciał mnie zabić! – wyszczała nagle z oburzeniem.

– To cholerny eunuch – wychrypiał Guld. – W jaki sposób zamierzałaś go oczarować? Nawet nie musi się golić.

Stock Marynd jęknął, po czym osunął się na bruk. Jego kusza uderzyła ze stukiem o kamienie, ale nie wystrzeliła. Guld spojrział na niego i zobaczył, że mężczyzna leży nieprzytomny z lekko głupawym uśmiechem na twarzy.

Birklas Punth i Blather Roe uchylili elegancko kapeluszy, po czym oddalili się nieśpiesznie.

Sierżant odsunął się krok od muru. Zachwiał się, ale zdołał zachować równowagę. Po jego szyi spływała krew. Nagle usłyszał odległe krzyki. Wreszcie zbliżali się jego ludzie. Westchnął, zatrzymując spojrzenie na dworcu. Jej ciało leżało w powiększającej się kałuży krwi. Zauważył truchającego w jej stronę kundla i jego żołądkiem targnęły gwałtowne mdłości.

– Obłąd – wyszeptał. – Wszystko to obłąd!

Z cieni w głębi zaułka dobiegł suchy kaszel, po którym rozległ się ochrypły zaśpiew:

– Widzisz, jakie są skutki występku?

* * *

Emancipor Reese obudził się półprzytomny i zobaczył przed sobą cztery podróżne kufry przypięte pasami do ściany. Ze wszystkich stron dobiegały go odgłosy poskrzypywania, a koja, na której leżał, kołysała się pod nim.

Słoneczny Lok. Teraz to sobie przypominam. Kapturze, cóż za straszliwa noc!

Usiadł powoli. Statek unosił się i opadał na falach. Płynęli przez Rowy, leżące w Cieśninie Dziesięciny za Zatoką Laluniową. W ciasnej kajucie było gorąco i wilgotno.

Ledwie miałem czas wysłać jej słówko. Poradzi sobie. Być może nawet poczuje ulgę, jak już trochę się uspokoi.

Rozejrzał się wokół. Pozostałe dwie koje były puste.

Emancipor zerknął ze złością na kufry.

Cholera, ależ były ciężkie. Mało brakowało, a oś by się złamała.

Rzecz jasna, w drugim kufrze Bauchelaina znajdował się ogromny, starannie owinięty kawał łupku. Czarodziej wyjął go i położył na podłodze. Na płaskiej powierzchni kamienia wryto skomplikowany wzór. Emancipor popatrzył na niego mrugając, po czym zmarszczył brwi. Nagle sobie przypomniał, że słyszał jakiś dźwięk, na tyle dziwny, że go obudził. W jednym z kufrow Korbala Broacha coś się ruszało. Coś musiało się tam poluzować.

Emancipor wstał ciężko. Odpiął pasy i przyjrzał się zamkowi. Tkwił w nim klucz. Odsunął rygiel i uniósł ciężką pokrywę.

Nie było słów, by opisać grozę tego, co ujrzał wewnątrz. Dopadły go mdłości. Zatrzasnął pokrywę i drżącymi rękami zapiął z powrotem pasy.

Kajuta nagle wydała mu się za mała. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem. Musiał... dokąś uciec.

Dowlókł się do drzwi, wyszedł na korytarz, wspiął się po zwietrzałych, wyblakłych stopniach i znalazł się w śródkręciu. Bauchelain stał nieopodal dziobu. Wydawało się, że kołysanie żaglowca mu nie przeszkadza. Wokół nekromanty i Reese'a kręcili się marynarze. Żegluga przez Rowy była ciężką harówką.

Zdyszany jak wyrzucona na brzeg ryba Emancipor dowlókł się z trudem do Bauchelaina.

– Wyglądasz mizernie, panie Reese – zauważył mag. – Mam pewne skuteczne tynktury...

Emancipor potrząsnął głową, sapiąc ciężko. Wychylił się za reling.

– Sądziłbym – kontynuował Bauchelain – że nie jesteś podatny na chorobę morską, panie Reese.

– To, hmm, tylko pierwszy dzień, panie. Wkrótce się przyzwyczaję do kołysania pokładu.

– Ach, rozumiem. Widziałeś może moje dzieło?

Emancipor pobladł.

– Mówię o łupku, panie Reese.

– Aha. Widziałem, panie.

– Staram się pójść na rękę Korbalowi i jego nieustannym próbom płodzenia – ciągnął Bauchelain. – Dlatego tworzę... nazwijmy to platformami. Nakreślony na nich krąg zachowuje i, jeśli to konieczne, zapewnia pożywienie. Nie było jeszcze przypadku, bym nie nauczył się podczas takich prób czegoś nowego, obaj więc odnosimy z tego korzyści. Dobrze się czujesz, panie Reese?

Emancipor nie odpowiedział. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w potężne, szare fale, które mknęły ku niemu z każdym opadnięciem dziobu. Drżał, choć nie czuł wibracji przebiegających przez kadłub.

Płodzenia? Och, bogowie wybaczcie!

To co leżało w kufrze, ta sterta pulsujących, drżących, pozszywanych ze sobą narządów, każdy z nich żywy i z pewnością zawierający duszę, zamkniętą w makabrycznym więzieniu, z którego nie było ucieczki... to co żyło w kufrze Korbala Broacha... tylko ktoś o umyśle tak wypaczonym, że wykroczył poza wszelkie granice normalności, mógłby nazwać podobne... okropieństwo dzieckiem. Eunuch marzył o płodzeniu, lecz z jego snu rodziły się jedynie koszmary.

– Czyż to rzeńskie, czyste powietrze nie podnosi człowieka na duchu? – zapytał Bauchelain, oddychając głęboko. – Zawsze czuję się odmłodzony, gdy znowu wyruszamy w podróż, ponownie podejmujemy eksplorację tego świata. To dobrze, że udało się zawrzeć porozumienie ze Sztormowymi Jeźdźcami. Prawo przepłynięcia przez morze nie powinno kosztować więcej niż słoik krwi, góra dwa. Jestem pewien, że w tej sprawie wszyscy się zgadzamy. A teraz, panie Reese, pozwól, bym pomógł ci w tej niefortunnej chorobie. Sekcje i wiwisekcje, które przeprowadzałem w przeszłości, pozwoliły mi ustalić jej źródła. Kryją się one, ni mniej, ni więcej, wewnątrz

twego ucha. Jako alchemik o znaczących umiejętnościach dysponuję talentem pozwalającym położyć kres twym dolegliwościom. Zapewniam, że...

Och, Subly...

– Światło dnia to coś naprawdę wspaniałego, nieprawdaż, panie Reese? Bogowie wiedzą, że rzadko je oglądam. Ach, oto i Korbal...

Emancipor odwrócił się, by spojrzeć w kierunku, w którym wskazywał Bauchelain. Za rufą statku, pośród kilkunastu mew, leciała wrona. Czarne ptaszysko unosiło się na wietrze niczym oderwany strzępek ciemności.

– Korbal Broach jest naprawdę niestrudzony – oznajmił Bauchelain, uśmiechając się czule.

Niestrudzony. Och.

– Powinienem cię ostrzec, panie Reese, że mam wrażenie, iż ten statek jest trochę dziwny. Pani kapitan nie chce zdradzić, dokąd płyniemy, i gwoździe również są osobliwe, panie Reese, gwoździe, które utrzymują żaglowiec w całości...

Mówił dalej, ale Emancipor przestał go słuchać.

Dokąd płyniemy? Niech cię szlag, Bauchelain, powiedziałaś na zachód, tak daleko, jak tylko się uda. Zrobiłem to, czego ode mnie chciałaś, do cholery. A teraz jestem tu uwięziony.

Za Cieśniną Dziesięciny leżało morze, które ciągnęło się...

Bez końca, w przeklęty przez bogów bezkres, Bauchelain! Przed nami ocean, do cholery!

– Panie Reese?

– Słucham?

– Czy spodziewasz się, że ten rejs potrwa bardzo długo?

Wiecznie, ty sukinsynu.

– Parę miesięcy – warknął, zaciskając szczęki.

– Ojej. To może się okazać... nieprzyjemne. Rozumiesz, chodzi o te gwoździe, panie Reese. One mogą... zakłócić działanie mojego kręgu. Jak

już wspominałem, to żelazo ma jakiś tajemniczy aspekt. Obawiam się, że dziecko Korbala może uciec...

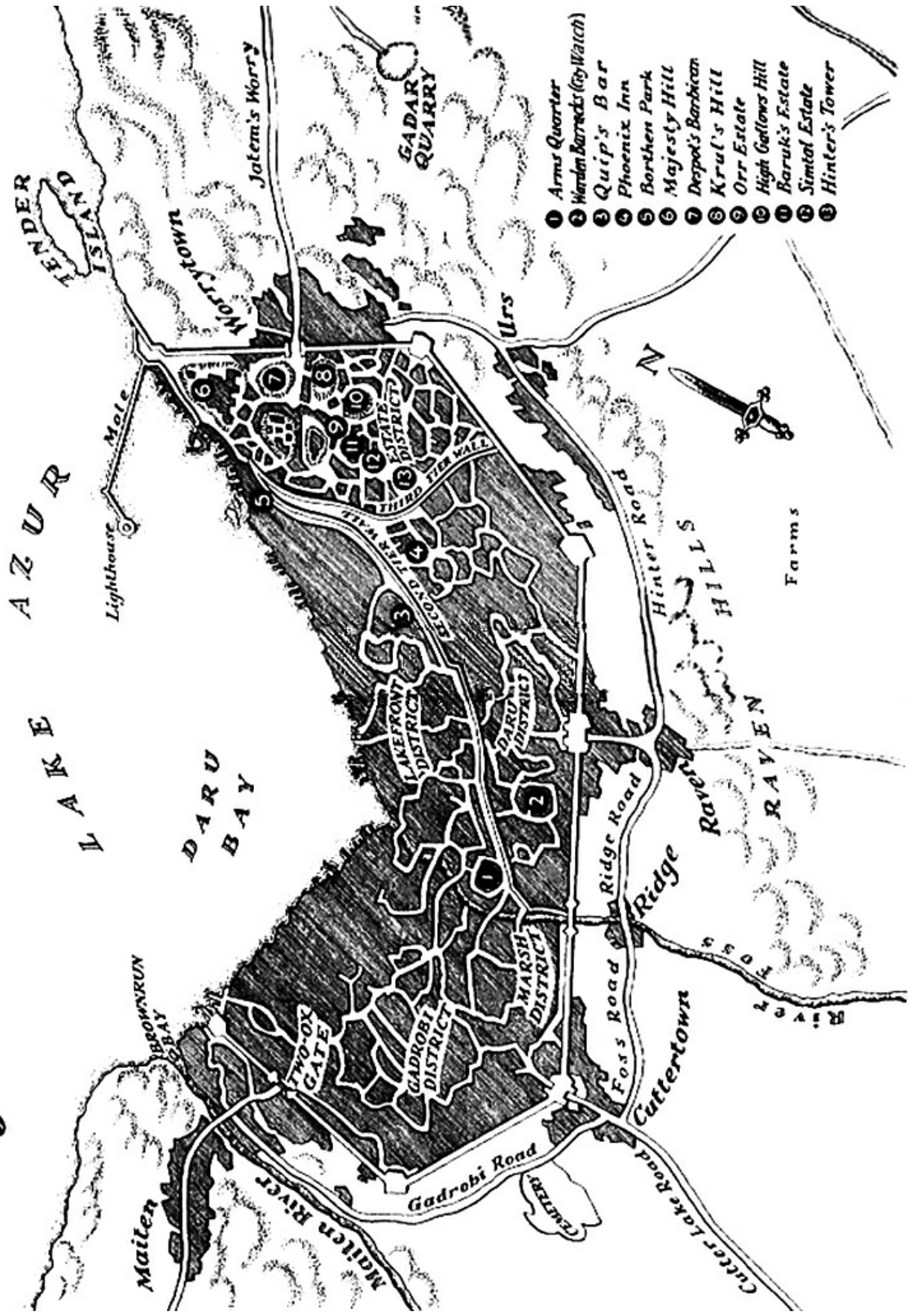
Emancipor zamknął gwałtownie usta. Poczuł, że złamał mu się ząb.

Jego śmiech spłoszył mewy, których szalone, niosące się echem skrzeczenie nagle umilkło. Marynarze zaczęli krzyżeć. Emancipor osunął się na kolana. Nie mógł przestać się śmiać, ledwie był w stanie oddychać.

– To bardzo niefortunne – wyszeptał Bauchelain. – Ale z drugiej strony, nie miałem pojęcia, że mewy płoną tak łatwo. Korbal bardzo nie lubi hałasu, panie Reese. Mam nadzieję, że uda ci się szybko poskromić tę dziwną wesołość. Tak szybko, jak to tylko możliwe, panie Reese. Korbal wygląda na bardzo podekscytowanego, naprawdę bardzo podekscytowanego.

Darujhistan

SCALE
0 1/2 1m



- 1 Arms Quarter
- 2 Warden Barracks (Gy Watch)
- 3 Quip's Bar
- 4 Phoenix Inn
- 5 Borthen Park
- 6 Majesty Hill
- 7 Despot's Barbian
- 8 Krul's Hill
- 9 Orr Estate
- 10 High Gullows Hill
- 11 Baruk's Estate
- 12 Simtal Estate
- 13 Hinters Tower

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Wstęp](#)

[Krwawy trop](#)

[Spis treści](#)